

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 21 czerwca 1953 r.

Nr 25 (411)

MARIA KAMIŃSKA

BÓJ O NOWEGO CZŁOWIEKA



MÓWILIŚMY o naszych osiągnięciach i zdobyczach. Wracając w teren trzeba jednak pamiętać nie tylko o święcie, któreśmy tu wspólnie przeżyli, ale widzieć również cię żką w a l k e, którą przecież prowadzimy wszyscy i wy, przewodnicy czytelnictwa i wy, kierownicy punktów bibliotecznych, i wy, bibliotekarze gminni czy powiatowi i wy nauczyciele szkół, czy siedmioklasowych. Pięknie ja w dyskusji podkreślił kol. Edmund Klasa, młody chłopak ze Szklanej Huty w woj. gdańskim, kiedy mówił, jak to trudno było skłonić wieś, w której mieszka, żeby czytała, jak to on chodził od mieszkańca do mieszkańca, dając książki starszym i jak pytał synów, co twój ojciec robił wieczorem; jak przekonywał się, że jednak ten ojciec do ciekawej książki sięgnął. Jego starania powinny nam oświecić trudności, z jakimi walczymy i dłuższy jeszcze czas na naszej wsi walczycie będzie. Bo wiele jest jeszcze przesądów, które hamują czytelnictwo i rozwój kultury bo wiele jeszcze jest ciemnoty, którą musimy przełamywać, bo przeszkadza nam w naszej pracy kulturalno - oświatowej kułak — o czym w naszej dyskusji za mało mówiliśmy, bo przeszkadza nam w pracy kulturalno-oświatowej tu czy ówdzie zacofany kler — o czym również za mało mówiliśmy.

Jeden z mówców, kol. Julian Rybiczak, nazwał nas s t a b e m k u l t u r a l n y m. Rze-czywiście, musimy się czuć j a k s t a b i musimy się czuć j a k z o ł n i e r z e w a l k i o k u l t u r e. Nie darmo mówimy o froncie kulturalnym w naszym kraju, nie darmo mówimy o rewolucji kulturalnej w naszym kraju. A kto mówi front, ten mówi trudności. Kto mówi trudności, ten musi nauczyć się je zwalczać i zdobyć w sobie siłę do walki z tymi trudnościami: z ciemnotą, z zacofaniem, z przesądami i z kułacką wroga agitacją (oklaski) i z wroga agitacją anglo-amerykańskiego imperializmu, nosicielami takich czy innych BBC, plotek, bzdur, które jeszcze ciągle usiłują się nasi wrogowie na polskiej wsi (oklaski).

Walka o kulturę, Koledzy i Towarzysze, to część składowa naszej walki klasowej o lepsze jutro wsi, o wyzwolenie naszej wsi ostateczne i całkowite z ciemnoty, z jarzma i wyzysku kułackiego, walka o prawdziwą wolną, socjalistyczną wieś. Wczoraj nasz górak kol. Jan Hanić z powiatu Nowy Targ z głębokim wzruszeniem mówił o tym, jak to on „troszkę” Warszawę obejrzał przed naszym złotem i jak on teraz będzie się starał o to, żeby ich koło micurynowskie, żeby ich „olejka doświadczalna” ogarnęły nie tylko ich teren, ale żeby się rozszerzyły i żeby to zboże, które zaczyna wykazywać jak najlepszy stan, planowało dla klasy robotniczej, dla naszej kochanej stolicy. W tych pełnych wzruszenia słowach tkwi głęboka prawda, o której wielu z Was, Koledzy, mówiło, ale może nie dość jasno politycznie stawiając zagadnienie. My, przewodnicy czytelnictwa, bojownicy kultury, musimy w naszej akcji kulturalnej, w naszej pracy kulturalnej umocnić i o s t a c i o s o j u z r o b o t n i c z o - c h ł o p s k i, z tym musimy wracać.

Sojusz robotniczo-chłopski, zatem więcej z hektara, zatem więcej mleka, a więc lepsza hodowla, ażeby prędzej, łatwiej, szybciej i

taniej klasa robotnicza mogła wykonać wszystkie wielkie zadania Planu 6-letniego, ażeby syta była ludność miast, ażeby syty był młody chłop w szkole średniej, w bur-sie, na wyższej uczelni, jutrzejszy nasz specjalista, budujący socjalizm, żeby dowoli było wszystkiego. Czytać więc książki rolnicze, podnosić produkcję, hodowlę i w ten sposób walczyć o umocnienie i u-trwalenie sojuszu robotniczo-chłopskiego. Samokrytycznie powiedzmy sobie jednak że w tym etapie kursu czytelnictwa książek rolniczych czytaliśmy wszyscy razem za mało. To jedno. A drugie. Czy każdy z nas „przodownik” czytelnictwa przoduje w odstawach dla państwa?

Przecież niestety, nie zawsze ta gromada, która produkuje w czytelnictwie, która ma kilkuset czytelników, która jest objęta kregiem kulturalnej rozrywki i kulturalnej pracy, czuje się już współodpowiedzialna za wszystko, co się w Polsce Ludowej dzieje, czuje się współtwórcą tego wielkiego budownictwa w naszym kraju.

Oto gromada Ujeźłowice, której świetlica rzucała nam wezwanie do współzawodnictwa w całym kraju, ale w odstawach pochwała się Ujeźłowice nie miały czym.

Książka musi nas nauczyć, musi w nas wzmocnić to poczucie, że jesteśmy współgospodarzami, współtwórcami tego, co się dzieje w naszym kraju. I z tym, wydaje mi się, pocutem w z m o z e n i a o d p o w i e d z i a l n o s c i z a n a s z k r a j, za budownictwo pokojowe, za rozwój naszej ojczyzny, za budownictwo socjalizmu — trzeba z naszego zlotu wyjechać. Kol. Dzierża z Poznańskiego, dawny farnal, który 40 lat czuł na swoich barkach „jaśniepańskie jarzmo, w piękny sposób mówił, jak on agitował za czytelnictwem i jak on, stary człowiek, agitował za spółdzielnią produkcyjną i zaagitował te spółdzielnie. Młody junak z brzoławy SP, kol. Belmicki opowiadał nam, jak to jemu książka Scibora-Rylskiego „Węgiel” dopomogła do tego, żeby jego bratadła wysunęła się na czołowe miejsce w wykonywaniu Planu 6-letniego w trudnej walce o węgiel.

Nie jest to przypadek, Towarzysze i Koledzy, że tylu spośród przemawiających podkreślało znaczenie i rolę, jaką odgrywa książka radziecka w ich życiu i w życiu gromad. Książki radzieckie pokazują nam pięknych ludzi. Książki radzieckie

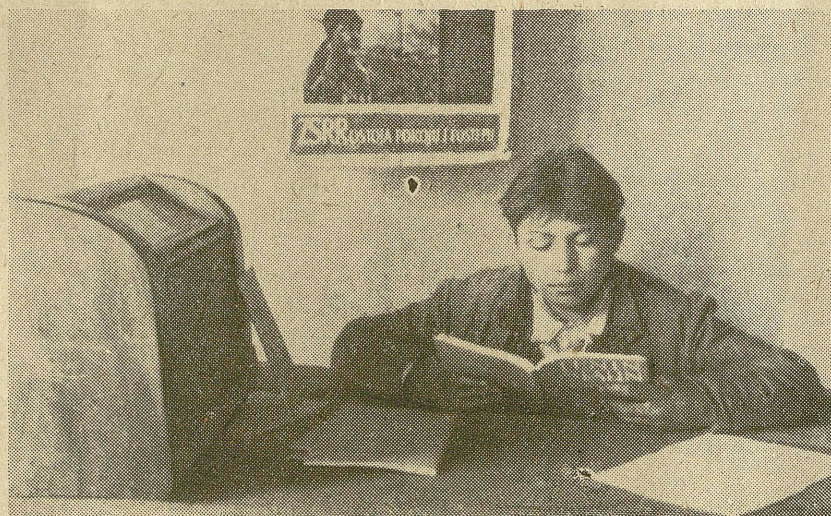
pomogły w spółdzielni produkcyjnej do nowego ustosunkowania się do człowieka, jak to on kiedyś trochę komenderował, trochę krzyczał na ludzi, tracił cierpliwość i jak po'em po przeczytaniu jednej, drugiej, trzeciej książki, powiedział: „Trzeba inaczej, trzeba po koleżeńsku, trzeba spokojnie, trzeba przekonywać”. I jak się okazało, ci chłopcy indywidualni, którzy przedtem słuchać go nie chcieli, teraz słuchają, ci członkowie spółdzielni, którzy się nieraz na niego obrażali, teraz mówią: „Zmienilo się w naszej spółdzielni, są jakieś przyjemne, koleżeńskie stosunki”.

Tu już książka sięgnęła bardzo głęboko, tu już książka przerabia dusze nasze, przerabia nas całych na nowych ludzi, godnych epoki socjalizmu.

Jeżeli nam koleżanka z Siedlisk wczoraj opowiadała, że ona nigdy w życiu nie zapomniała książki „Bohaterki zapleca” i jak to cała grupa, szkoląca się w Siedliskach, przeprowadzała długotrwałe dyskusje i brała sobie za wzór tę czy inną z dziewcząt występujących w tej książce, to myślę, Koledzy, że każdy z nas ma lub znajduje swoją książkę, którą tak głęboko przeżyje. I o to nam chodzi. Z tym trzeba z nowego Złotu wyjechać. Książka musi stać się przeżyciem, które kieruje nas ku przyszłości, kieruje nas ku lepszemu, nowemu życiu i zmienia nas na nowych ludzi.

Najpiękniej mówiła o tym kol. Tomaszewska, siwa kobieta z pow. inowrocławskiego, która nam powiedziała: „Nie dziwicie się, że ja się z tej mównicy do was zwróciłem przez „kochani”, ja, która tyle wycierpiałam, ja, która byłam bita i poniewierana przez obszarnika, ja dziś do moich kolegów na sali i do ludzi pracy w całej Polsce mogę powiedzieć — „k o c h a n i”.

My, wychowując nowych ludzi i sami stając się nowymi ludźmi, chcemy, żeby to nasze społeczeństwo, budujące socjalizm, stało się społeczeństwem opartym o nową moralność, o nową etykę, gdzie naprawdę bez obłudy i fałszu kochać będziemy bliźniego jak siebie samego, gdzie naprawdę bliźniemu —



okazują nam gorących patriotów, bohaterów, ludzi takich jak my, ale którzy w codziennym trudzie stają się zdatni do wielkiego wysiłku dla ojczyzny, dla społeczeństwa, dla ogółu. Książki radzieckie, powiedzialbym, pokazują nam ludzi takich, j a k i m i p r a g n e l i b y ś m y b y ć m y w s z y s c y. Chcę zaapelować szczególnie do kobiet, szczególnie do matek, których jest wiele tutaj zgromadzonych: uczcie wasze dzieci, uczcie młode dorastające pokolenie na radzieckich książkach. Uczcie, jak człowiek wyrzyna się egoizmem, jak staje się wolny od pychy, jak staje się gotowy do poświęceń, do bohaterstwa, jak staje się człowiekiem, przenikniętym nową, socjalistyczną moralnością. Uczcie ich tego, nasze polskie matki, na pięknych książkach, na pięknej, nowej, najbardziej pełnowartościowej, torującej drogę ludzkości, radzieckiej literaturze.

Chciałbym się powołać na piękne przemówienie kol. Wacława Osaka z pow. buskiego, który opowiadał, jak to jemu powieści radzieckie do-

śsiadów, każdy z nas będzie starał się pomóc, każdy z nas będzie starał się, żeby sąsiad, kolega nie cierpiał biedy, nie miał trudności, żeby go wyciągnąć i podciągnąć, żeby we współzawodnictwie kiedy ja jestem pierwsza, on zaraz obok mnie pierwszy. To jest nowa moralność płynąca z książek, które coraz częściej dostają czytelnicy do rąk.

Prez z egoizmem — prez z pychą, prez z chciwością, której jeszcze tyle w masach chłopskich i której ciągle podpora jest kułak, który chce uczyć spekulacji i który chce uczyć niewykonywania obowiązków. A my temu przeciwstawiamy naszą nową rosnącą w nas wszystkich socjalistyczną moralność. Dlatego z tym trzeba przede wszystkim wrócić do swoich gromad, do swoich bibliotek, do swoich szkół, na front kulturalny. Bierzemy się o nowego człowieka, o nową socjalistyczną moralność.

Maria Kamińska

S. PIOTROWSKI — O pełny udział w walce; A. DASZEWSKA — Na Ziemi Lubuskiej; A. ROLLAND — „Pomyłka” króla Sobieskiego; G. BIDWELL — Portret walczącego narodu; H. WORCELL — W „Republice Dziwanowskiej”; A. JAWICZ — GS-y, ludzie i sztuka; R. PSZCZOŁKOWSKI — Film o „Pamiętce Celulozy”; T. SLIWINSKI — Miasteczko, które zobaczyło świat; B. CIRLIC — Poeta bułgarskiego proletariatu; S. KISIECKI — „Górnicy” Iwana Martinowa.



TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

ZAORANIE MIEDZ

Fragment z poematu „Jackowice”

Był ranek. Słońce lśniło na blaszanych łatach Starych dachów folwarcznych i białego lata. Wiatr nitki postrzępione niósł, drobne i drzące Jak dziecko, gdy latawcem bawi się na łące. Przez niebo jak spłoszone owce gnaly chmury. W tym czasie pola trąca barwę, kształt, kontury; Do pol upodobnione miedze, trawa wyschła, Rzekłbyś, że jesień miedze chce ukryć w ściernisku. Przed oczami spółdzielców.

A ci właśnie stali Na granicy pól chłopskich i działek farnali Wkoło Króla. Pisalem, jak kolchozy zwiędzały Wsiane w stępy kłębki, gdzie jedna miedza, To wzdłuż setki mil zboża — przeciętny kanał. Jest ich dwudziestu czterech. Z przodu stoją młodzi, W głębi, w ciennej zapasce dojka Sebastiana, Z boku Szkopiak, co z książką uczoną przychodzi Do obory i różne nowości wprowadza. Dalej średniak Olszewski. Ten z miesiąca się zgadzał Na spółdzielnię, gdy cytry wskazywały tręściwie, Ze postąpił rozsądnie, serce — sprawiedliwie. Opodal mimo orki stanęli ciekawsi: Jakies baby w spódnicach koloru żorawin Z pobojnie splecionymi dłońmi i zastęgią W oczach zgrozą. Spojrzenia wbiły jak sztydo W pola nowej spółdzielni. Młodsze z dziećmi w chustach. Wśród nich Józka bogaczka i Margoska tłusta, Obok Wiącek i Krzyżek. Pół wsi przyszło patrzeć, Jak ci „tumanienicy” będą jak w „tyjatrze, Gdzie się różne głupoty dla śmiechu odgrywa”, Swe własne i z nadziału miedze zaorywac.

Żle, gdy ktoś w drogę idąc na progę się potknął Wśród wrogów. Coż, że hezgle siedzi gracko po lesie, Zie oczy to wypatrza, zły język roznieśli, Głupie dłonie doskoczą i piach sygną w oczy. Jesteś w sercu choć trochę słabości skrył, zboczysz, Garska naszych spółdzielców zdaje się nie słyszeć Babskich pleciug i tylko przepieciwszy Zdziszek Szelmowski perskie cko Wiąckowej posyła, Co właśnie zza pazuchy rożaniec dobyła I modli się, by święty Faustyn zesłał piorun... Już na chłopskim od świtu orano wzdłuż toru. Trwał ów żmudny, powolny przemarsz przez zagony Konia, gochy, człowieka zgłębioną i wrony. W gorze chmury gęstniały. Ich mroczny kolor był jak kłątwa biblijna i wyraz pokory Wobec siły przyrody i spądku stuleci... Wnet traktory nadjadą. Wyjdziemy naprzeciw, Spójnią się, jak widać, lecz wnet wyjrzą z wioski I po chwili nie dłuższej niż pacierz dziadowski Staną tu. Pewnie jadą. Dobiegł przez zagony Szczęk psów, ostry, narwany i jakby zdumiony; Tarza się wzdłuż opłoków, coraz bliżej dworu, Głuszy pewnie miarowe stukanie motoru, Nie ustaje... Nie... ustali i w ciszę się wplątał. Od godziny trwa cisza i jest już dziewiąta. Król stale swój zegarek jak puszkę z tytoniem Otwiera i oczami, zda się, przestrzeń chłonie Aż po zasług widzenia, a i ten przekroczy Słuchem... Cisza wkrąg zgryzta. Zwiłgotniały oczy Bogusi. Spójrz!... Dziecinna tza kręci się w oku, Choć uśmiechem i słowem chce zakryć niepokój... Znają ciężar spóźnienia; wiedzą, ile waży Ten czas w pracy zespołu łowickich murarzy Na Placu Kościuszkowskim; ile w mieście Łodzi Przadki przędzy urobą wzdłuż niewielu godzin. Od godziny trwa cisza, a dzień ten stanowi O powadze ich czynu w zagrodach Jackowie. Nie dziwnie się, że owładł nawet i młodzieżą Niepokój. Król i Szkopiak oczami się mierza. Po czym Szkopiak bez zwłoki na swój rower siadzie. I znikł w dali jak igła wbiła w sińską kądziel.

Na zegarku wskazówka ku cyfrze następnej Podpełza. Uciachają pomruki niechętnie — Ow szmer wyzysk, co prawie już w ucho nie wpada — O „dzwonku ekonomicznym”, „bandziarach” i „dziadach”. Na ich miejsce przybiega i śmiga zaczyna Po brzdach jak mysz polna — zwinna, szybka drwina. Podchodzą zewsząd ku nim, stają całkiem z bliska: Dwie Wiąckówny w pilotkach „panska piękność” — Krystka,

Pomarszczone bigotki, podobne dziś wierzdom Rechozącym dziuplami, kiedy pnie rozrzeźbia Rylem czasu. A Wiącek swój czarny jak smola W tył sznawczy kapelus z uśmiechem anioła, Co w sobotnim kościele plynie na obłoku, Urządza najczyściej, żeby dali spokój, Bo nie w siłach, zawiadli się dzisiaj i nie dziś, Tam jest nieład i słowa próżne, tu sąsiady Dopomoga, a rażniej na swoim, w gromadzie,

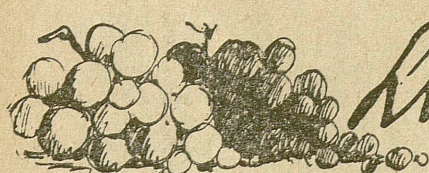
Wiącek zgodę pochwała, przeciwny jest zwadzie. I oto Baran, farnal Guzek, dwóch średniaków Patrzą w ziemię, jak gdyby szukali rzepaku Na ściernisku, Jaskółski tak jakby okulał... A wtem zabrzniął nad miedzą basowy głos Króla; (Król zwykle mówi cicho i jakby nieśmiało) „Patrzcie, ludzie, wilczyśko w skórę się odzowało Owczą, tylko mu ślepa świeca i pazury. Przykuse są dla wilków widać owcze skóry. Tym gadaniem, pocztowce, nie omanisz wielu. O takich przyjacielach często w Z. S. L-u Mówimy. Franek Baran, jeśli tak zbaraniał, Niech odejdzie. Nie chcemy próżnego biadania... — Przerwał, bo raptem rower wybił się z oddali... Przybył Szkopiak, przez chwilę na boku szeptał. Rzekł znów Król, że traktorów nie ma do tej pory. — Przyczynę Szkopiak zbadał. Był u nich. Traktory Są potrzebne gdzieś indziej, orzą w Wierchowicach Dla takich jak my chłopów, a nie dla dziedzica. W tym mi rację przyznacie. Całkiem inna sprawa, Ze nie wolno POM-owi obietnicy dawać, Ze przyjadą, gdy nie przyszły i tak ludzi zwodzić. Przeoczyli. Planowość nie na plniu się rodzi I niemożliwość. Nie zaraz Łowicz zbudowano. Wszak uczymy się wszyscy. Z Bedlina dzisiaj rano Dzwoniono do soltysa. Wyszedł. To się zdarza. Czy to znaczy, że trzeba omyłkom pobić? Wcale nie. O tym potem. Jutro lub pojutrze Sprzęt nadejdzie. Nie traktor jest pierwszy, lecz człowiek,

Co ma rozmach w ramionach i co się nie guzdrie Na wspólnym, widzi jasnie, że bo myśli zdrowiej. Z czasem będzie nam lepiej. Zjadą tu kombajny, Jakim widział w chutorach Kraju Radzieckiego. A dziś orkę jesienną końmi zaczynamy. Roszanie nie od razu zaczęli z łatwego

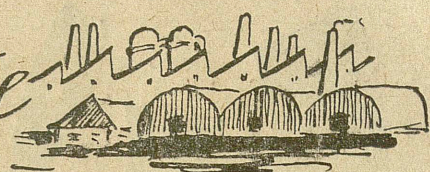
Więc zaprzęgli do pługów siedemnaście koni — Kaniary przystroili kwiatem georgin — Rozstawili w odstępach w wicherowanej linii Na ryśku, a nim lemieś w kamienie zadzwoni Na granicy Olszewskich pola i dworskiego, Przed tą chwilą, od której ruch lewów już dzieli, Z powagą i w skupieniu młotząc czapki zdjeśli. Zaskrzypiały holopce, rząd pleców się przegali. Wszystkie plugi rwą na raz ziemię z taką siłą, Ze dach w górę tryskała i kiedy pył opadł, Mógłbyś przysiąc, że miedzy tu wcale nie było. Kraj pole Olszewskich, przodem idzie Szkopiak — Konie, zniższy grzbiety, prą z mocą na przełaj Długa linia pstrkoatą, co wnet się wygięła Jakoby luk z leszczyny napięty do strzału. Wzrok, co konie takował na panskich wyścigach, Bez monokla by stwierdził, że suną po mału, Lecz już na drugiej morderze ów tępy błysk wygasił, Jaki da... pod słońce, gdy spojrzysz nań z bliska, Zadry słomy i trawa pyrzasta ścierniska. Za każdym plugiem biegnie jakby struga rwąca Czarna wezbrana brudza; i nie tak męcząca Jest orka, kiedy do niej stanęli gromadnie. Suną konie. Już miedza następna jak okop Staje w poprzek. Wnet na nią sroczak Króla wpadnie I dwa wrony podobne burzliwym obłokom, Dalej gniadosz i karaś Walka, w ślad jak cienie Dwanaście innych koni, których nie wymienię. Do zmroku jeszcze cztery uśmieły zaozali. Wściekłymi spojrzzeniami kluto ich z oddali. Wiąckowa przez czas jakiś nieruchoma stała Tak skrzywiona, że Król nasz, co dobrą ma pamięć, Mówił, że się historia jak raz przypomniała Z żoną świętego Lota zamienioną w kamień. Pod wieczór wiatr się zerwał, tłuki w szczy.

Przy lampce Król z Olszewskim zliczył na przedce Wyniki dziennej pracy, doprawdy, że spore, Choć bednrowskie traktory zorałyby więcej. Wypisali i krechą podkreślili białą Owę miedze i osiem zoranych hektarów Na deszczulce specjalnej w miejscu przez wieś całą Poważnym, pod dzwonem, co strzegi od pożaru.

Spia spółdzielcy jak bitwa strudzeni żołnierze, Tylko oczu Wiąckowych sen słodki nie bierze. Wreszcie zegarek Króla zgodnie ze swym planem I szkarłatne koguty otrąbiły ranek. Spółdzielcy wyszli w pole mimo wczesnej pory. Wtem Boguska, podłotek z śmieszyną, wzdrartym noskiem Biegnie ku nim i palcem wskazuje za wioskę... Z rannej mgły wynurzają się zwolna TRAKTORY...



Literatura - W ludowej Bułgarii - życie



BRONISŁAW CIRLIĆ

Poeta bułgarskiego proletariatu (W 30 rocznicę śmierci)

MASY pracujące Bułgarii ze szczególnym pietysmem przechowywać pamięć o wielkim poecie i rewolucjonście Christo Smirneńskim (1898 — 1923).

W dziejach walki rewolucyjnej ludu bułgarskiego i w dziejach literatury ojczyzny Smirneński zajmują jedno z najbardziej zaszczytnych miejsc. Zdobył je dzięki temu, że niepowściągnięty talent oddał bez reszty proletariatu bułgarskiemu i jego Partii.

Wysoką dojrzałość ideową i artystyczną zdobywał Smirneński na drodze wielu trudnych doświadczeń życiowych.

Dzieciństwo spędził w małej miejscowości Kukusz. Uczył się czytać i pisać, pomagał ojcu w wyplekaniu ciastek i sprzedawał gazety.

Pierwsza wojna światowa pognała cukiernika Dymitra Izmirliewa wraz z czworgiem dzieci na tułaczkę. Osiedlili się wreszcie w ubogiej dzielnicy sofijskiej — Jucz-Bunar, gdzie Christo żył i tworzył do końca życia. Z Jucz-Bunaru pochodził jego najlepszy i najbardziej oddany przyjaciel. Wszyscy tam wiedli ciężkie życie. Każdy wszelkimi siłami starał się wydobyć z tej studni (bunas — studnia). Każdy — tak jak potrafił.

Jego ojciec, któremu nie bez trudu przychodziło utrzymać rodzinę, przede wszystkim starał się, by dając dzieciom wykształcenie, by zapewnić im życie lepsze niż je sam miał. Christo oddał do szkoły technicznej. A już zostanie technikiem, może nawet inżynierem, chleb będzie miał zapewniony.

Christo pilnie uczył się mechaniki i geometrii wykresowej, a zeszyty szkolne prócz rysunków technicznych wypełniał krótkimi, a ciętymi wierszami, w których opisywał śmieśnizny ludzkie podpatrzono, dokola siebie: na ulicy i w szkole. Debiutował w jednym z mniejszych pism satyryczno-humorystycznych i szybko zdobywał rozgłos.

Gdy załamał się południowy front bułgarski w roku 1917-1918, a władze królewskie poczęły mobilizować i wysyłać na front nawet nieletnich uczniów, Izmirliewowie zapisują Christo do podchorążówki — zanim skończy się długie przeszkolenie i wojna się skończy.

W szkole oficerskiej pod wpływem bezusznego drylu i łepych metod wychowawczych Smirneński po raz pierwszy zastanawia się nad rzeczywistością, w której żyje. A gdy do Bułgarii dochodzą wieści o rewolucji w Rosji i obaleniu cara, gdy na ulicach sofijskich mnożą się pochody głodnych i bezrobotnych, pochody kobiet domagających się powrotu z frontu swych mężów, podchorąży Christo zaczyna się wstydyć, że będzie oficerem królewskim... Jednakże gdy zbuntowana żołnierze za przykładem żołnierzy rosyjskich odmówili walki za obce im cele, ogłosili w Waldai i Tadmierze „Republikę Bułgarską” i pomazzerowali na stolicę (1918 r.), Christo „w poczuciu honoru” przysięgł oficerem wraz z kolegami i gwardią królewską stanął im na drodze.

W tych rewolucyjnych dniach poruszyła Smirneńskiego dobroć starego powstańca, który zamiast strzeić mu w pierś poradził, by poszedł do domu, a przetrzało bestialstwo wojsk królewskich, dokonujących pogromu zbuntowanych żołnierzy w Waldai i Radomirze. Porzuca więc podchorążówkę, placąc pożyczonymi pieniędzmi odškodowanie za miesiące spędzone w koszarach. Znowu wraca na Jucz-Bunar, wraca do biedoty, która podczas wojny cierpiała i głodowała, a teraz kroczyła w pochodach, domagała się obalenia monarchii i rządu oraz ukarania winnych za wplatanie Bułgarii w wojnę imperialistyczną. Ludzie ci zaufaniem oddawali Partię Komunistyczną, oddawali jej w wyborach swoje głosy, szli pod jej sztandarami.

Christo Smirneński przeżywał w tym okresie wielki przełom. Dostrzegał, jak nikczemne i obłudne są hasła monarchii i burżuazji bułgarskiej, jak kłamliwy ich patriotyzm, dostrzegał jak chwile się w posadach starych świat. Wsłuchuje się w pogłosy rewolucji, które przebiegają przez Bułgarię i świat, waży i porównuje hasła i programy polityczne. Przekonuje się wreszcie, że gdy świat wyraźnie dzieli się na wyzyskiwaczy i ciemiężców po jednej stronie i na lud pracujący, który ponosi wielkie ciężary i trwa w nieustannej biedzie, po drugiej stronie — miejsce jego, poety, syna ubożego cukiernika z Jucz-Bunaru, jest po stronie ludu. Na początku 1920 roku Smirneński wstępuje do Partii Komunistycznej. Teraz dopiero Smirneński w pełni uświadamia sobie, co w życiu przeszedł i wyciąga z tego wnioski. Zaczyna swym talentem służyć ludowi, jego walce i marzeniom o lepszym życiu. Wprowadza do poezji bułgarskiej nowe tematy, nowe uczucia. Gdy zaczyna krepować go modna wówczas maniera symbolistki Smirneński dla nowej treści szuka nowej formy, nowych obrazów, nowego języka.

Wiele swych wierszy poświęca Smirneński żołnierzom Wielkiego Października, obrońcom rewolucji i pierwszemu państwu socjalistycznemu, odgierającym ataki kontrrewolucjonistów i interwencji państw kapitalistycznych — „Czerwonym szwadronom”:

Mknijcie, mknijcie w dal, szwadrony! Patrz na was miliony Z miłością, co w sercach żyje i z nadzieją tęsknym wzrokiem. Cały świat zaciska pięści i prosi o pomoc, grzebiąc zgarbionym. Patrz na was i ośniony jest zwycięskim waszym krokiem. Lećcie, lećcie szlakiem rzezi z deszczem ognia i żelaza, Dni bezchmurnych i szczęśliwych zwiastunowie rozczłowieczenia, W grzmotach gromów i błyskawic wywołajcie świat z zarysów Świat i ludność, odrodzoną w zbuntowanych fal czerwieni! (tłum. R. Kwiatkowski)

W wierszach poety znika samotna jednostka: występują w nich świadomi, zjednoczeni, walczący proletariusze. Smirneński opiewa bojowników Komuny Paryskiej, rewolucjonistów: Karola Liebknechta, Różę Luksenburg, czy Christo Botewa. Uczucia i tęsknoty, które nurtowały proletariatu na całym świecie, odczuwały się w wierszach Smirneńskiego. Nic też dziwnego, że jeszcze za życia poety — na zebraniach, wiecach, mityngach, w pochodach robotniczych — rozlegały się często jego wiersze. Bojowa, pełna optymizmu poezja Christo Smirneńskiego często rozjaśniała noc monarcho-faszystowskiego terroru w okresie międzywojennym. Przepisywane czy też podawane z ust do ust wiersze jego przemierzały całą Bułgarię. Wypisywano je na murach w miastach i wsiach, na komisariatach i więzieniach. Partyzanci bułgarscy nieraz powtarzali jego strofy, a brygadę szturmową nazwali jego imieniem.

W Ludowej Bułgarii poezja Christo Smirneńskiego odżyła i nabrała szczególnego znaczenia. Iść bowiem śladem Smirneńskiego, to znaczy służyć klasie robotniczej, być oddanym jej Partii; iść za głosem wierszy Smirneńskiego — to walczyć ofiarnie i wytrwale o pełne zwycięstwo sprawy robotniczej, o zwycięstwo socjalizmu. A człowiek i poeta, który staje w obronie praw wyzyskiwanych i uciskanych, który walczy ze starym światem o świat nowy, socjalistyczny — zawsze bliski będzie także polskiemu ludowi pracy i proletariatu polskiemu. Dlatego to bliski jest nam życie Christo Smirneńskiego, bliska wzmowa, żar i piękno jego dzieła.

Bronisław Cirlić

STANISŁAW KISIECKI

„GÓRNICY” IWANA MARTINOWA

IWAN Martinow jest pisarzem, którego biografia decyduje o charakterze twórczości, a o biebie związane są bardzo silnie z walką klasy robotniczej i Komunistycznej Partii Bułgarii. Urodzony w ubogiej robotniczej rodzinie Martinow z trudem skończył gimnazjum. Już wówczas członkiem Komunistycznego Związku Młodzieży, wydany ze szkoły, zaczyna pisać. Pisma, z którymi się wiązał — to postępowe „Robotniczy Front Literacki”, „Postrach”, „Jedność”.

Niedostatek jest stałym towarzyszem Martinowa. W ciągu kilku lat Martinow ze dwadzieścia razy zmieniał zawód: był redaktorem, administratorem, dziennikarzem, zecerem, domokrządem — sprzedawcą różnorodnych drobnych artykułów codziennego użytku, robotnikiem, sprzątacem, urzędnikiem. To pełne trudnych doświadczeń życie dało pisarzowi ogromną zdobycz — znajomość życia i pracy prostych ludzi Bułgarii.

Martinow, prześladowany za swe pierwsze książki demaskujące wyzysk rodzimych kapitalistów mając 22 lata staje się aktywnym członkiem Komunistycznej Partii Bułgarii. Odtąd całe jego życie i działalność literacka służy sprawie walki klasy robotniczej i chłopstwa o zniesienie ustroju kapitalistycznego.

Już za pierwszy zbiór opowiadań i reportażów „Front” o życiu robotników i chłopów i ich walce z terrorem i kapitalistycznym wyzyskiem zostaje Martinow skazany na 3 lata więzienia.

Później następują pozycje: „To war bez klientów” (1938) dający obraz niedźwiedzi robotniczych, dokonywanych kryzysów gospodarczych i „Odpust na Matkę Boską” (1939) — opisyujący losy młodego chłopca wiejskiego i jego drogę do świadomości klasowej.

Tradycja startu pisarskiego Martinowa i jego powiązania ze sprawą walki o wyzwolenie społeczne ludu żyje w całej jego twórczości, także w wydanym ostatnio zbiorze

opowiadań pod wspólnym tytułem „Górnicy”.

Tematycznie opowiadania zawarte w tym tomie obejmują lata ostatniej wojny i powojennego budownictwa podstaw ustroju socjalistycznego w Bułgarii.

W czasie wojny Martinow brał udział w walkach z Niemcami i był redaktorem gazety wojskowej „Frontowiec”. Otwiera tom króciutkie opowiadanie — obraz partyzanta Kaliaka wracającego do domu, do łoża umierającego ojca. Kaliak ginie, otoczony przez wrogów, ale myślą jego ostatnią jest: „Zginę, ale zginę godnie”. Ten króciutki i, wydaje się, bardzo fragmentaryczny obraz charakteryzuje bohaterką postawę narodu bułgarskiego, walczącego w szeroko rozwinętym kierownictwem przez nielegalny wówczas Front Narodowy, ruchu partyzanckim.

Dalsze opowiadania: „Jeniec”, „Na rozkaz Stalina”, „Frontowi towarzysze” — to obrazy z walk na froncie węgierskim. Armia bułgarska pod dowództwem gen. Włodzimierza Stojczewa wchodziła w skład wojsk radzieckich. Jedno z opowiadań „Na rozkaz Stalina” mówi o owym pamiętnym rozkazie z dn. 31 marca 1945 r. skierowanym do wojsk Trzeciego Ukraińskiego Frontu, w którym Wódz Naczelny, Stalin wyróżnił biorące udział w walkach na Węgrzech wojska bułgarskie.

Rozkaz ten odczytany wśród trudnych walk ulicznych podrywa zmęczonych żołnierzy do nowego zwycięskiego ataku.

Opowiadania przytoczone wyżej stały się w literaturze bułgarskiej pięknym obrazem przyjaźni bułgarsko-radzieckiej. Przyjaźń ta sięga daleko wstecz, kiedy to wojna Rosji z Turcją w 1877 r. przywróciła narodowi bułgarskiemu wyzwolenie od nienawistnej niewoli tureckiej. Po tamtych latach, mimo zaborszych imperialistycznych celów Rosji carskiej, pozostało w narodzie bułgarskim wspomnienie Rosjan — braci, wyzwolicielei.

Przyjaźń ta miała głębokie tradycje również w literaturze. Nie bez wpływu pozostawały kontakty najwybitniejszych bułgarskich pisarzy z Hercecem, Czernyszewskim, Tarasem Szewczenko i innymi.

Ale pełny kształt tej przyjaźni narodził się dopiero w czasach wspólnych walk narodów radzieckiego i bułgarskiego przeciw faszystom. O tym właśnie mówią opowiadania Martinowa.

Przyjaźń między tymi dwoma narodami raz zawarta przekształcała się w latach powojennych we wszechstronną pomoc i przykład ZSRR dla Bułgarii, jak np. w formie bezpośredniej pomocy w zbożu i żywności w latach suszy. „Frontowi towarzysze”, to właśnie przykład umacniania się tej przyjaźni. Dawny towarzysz walk z frontu, Golu-bienko, przyjeżdża z delegacją kolchozników do Bułgarii i tu spotyka swego przyjaciela. Następują wspomnienia, potem wyniana doświadczeń. Krótkie, pełne ciepła opowiadanie Martinowa nabiera szerszych wymiarów i staje się obrazem wzrastającej i pogłębiającej się przyjaźni obu narodów.

Walka narodu bułgarskiego znalazła również swoje miejsce w opowiadaniu Martinowa „Parowóz Nr 0027”, który jest przykładem zobrazowania tradycji walk o wyzwolenie społeczne. Pomocnik maszynisty, młody, uczący się dopiero praktykant, zazdrości innym pracy na nowych, wspaniałych parowozach, które on tylko ogląda. Sam musi praktykować na niepozornym, używanym tylko do manewrowania starym parowozie. Widząc że niechęć maszynisty opowiada pomocnikowi historię parowozu, na którym w 1905 roku po wielkim strajku górniczym w Perniku (dziś Dymitrowo) ukrywał się Georgi Dymitrow.

„Parowóz Nr 0027” i końcowe tytułowe opowiadanie „Górnicy” jakby klamrą spinają dzieje kilkudziesięciu lat walki narodu bułgarskiego. „Górnicy” są opowiadaniem

współczesnym. Pięcioletni plan Bułgarii obejmujący lata 1949 — 1953 zmienia w poważnym stopniu oblicze kraju, w którym stosunek przemysł do rolnictwa wyrósł z liczby 30:70 na korzyść rolnictwa. Plan 5-letni wyrówna te różnice do liczby 46,8:53,2 wciąż jeszcze na korzyść rolnictwa. Ale mimo to z Bułgarii typowo rolniczej stworzył kraj o równowadze przemysłu i rolnictwa. Ten poważny rozwój wymaga wzrostu liczebnej klasy robotniczej. I właśnie „Górnicy” Martinowa mówią o tym wzroście. Do rozbudowanej kopalni dojeżdżają z okolicznych wsi chłopcy, pracujący dziś jako górnicy. Ale żaden z nich nie czuje się w pełni górnikiem. „Jedną nogą jest w kopalni, a drugą na wsi. Kopalnia, która ma dawać duże korzyści — pociągają go, ale i wieść, gdzie ma trochę więcej lub mniej ziemi, zaniedbane lub troskliwie doglądane gospodarstwo, wieś z jej zwyczajami i przyzwyczajeniami, z tym wszystkim, co go interesuje i obchodzi — trzyma go mocno i przeszkadza mu poświęcić się jedynie i wyłącznie zawodowi górnika”.

Dlatego właśnie dyrekcja i kierownictwo partyjne kopalni podejmuje wielką akcję przesiedlania tych ludzi do miasta, budowania nowych osiedli, słowem przekształcenia tych jeszcze półchłopów w prawdziwych robotników.

O przekształceniu się narodu bułgarskiego, o tworzącym się jego nowym obliczu mówią właśnie „Górnicy”. Za tę opowieść otrzymał Iwan Martinow w 1951 r. państwowy nagrodę im. Georgi Dymitrowa.

Jest ona swego rodzaju ukoronowaniem zebranego w tym tomie dorobku pisarskiego Martinowa. Skupia on w sobie wszystkie jego najbardziej charakterystyczne cechy. Przede wszystkim wielką, artystyczną prostotę, a przy tym świeżość i celny wybór problematyki, pozwalającej pisarzowi zobrazować najbardziej ważne i kluczowe momenty życia i walki swojego narodu.

Stanisław Kisiecki

Z Ł A T U S Z A

wiedzieli się, że kilofy trafiły na kamień, zaczęli kiwać głowami:

— Czy te dzieciaki poszwały? Toć góry z krmienia! Tych gór ludzka ręka nie zdola przebić.

Lecz młodzi nie polamali sobie rogów. Sprowadzili dwa motory, napolili je benzyną, podnieśli gumowe węże do tunelu, wbili w skałę elektryczne swidry, napełnili otwory materiałem wybuchowym. Straszliwe eksplozje wstrząsnęły skalistymi górami, aż szyby w oknach pobrzękiwały, a ptaki pouciekały z gniazd przestraszona. Babka Złatusza zapaliła lampkę przed ikoną i co chwila zegnała się trwożnie. Zamiast wilgotnej ziemi z rozdartej gardzieli tunelu zawzięci junacy pozowali wywozić skalny złom. Kamień w miał zamieniali.

I zniknęli w tunelu. Rozległo się bębienie krzemionkowego dobo-sza: Potrzeba rąk do pracy, żeby zsypany kamień i ziemię na dno

zawołał i rzucił na ławę baranią czapkę. — Zabrali mi najlepszą ławkę. W dodatku setki ludzi sprowadzili na drugą stronę góry. I zaczęli stamtąd kopać w naszą stronę. Kopiać diabli, skały rozbijają. Góry drżą w posadach. I nie wiedzą, że to już ich koniec! Kiedy wdręją się do środka, w zyskach co do jednego góra przywali i żaden już nie zobaczy światła dziennego. Zapamiętaj moje słowa...

— Ach, człowieku, człowieku! Kieliszek cie zgubił! Cemu porwywasz się z motyką na słońce? Cemu tak się pier...

— To nie twoja sprawa.

— Nie widział, że młodzież rozpoczęła wielką robotę? Aż dziw, że tego nie pojmujesz. Kiedyś byłeś niegłupi, ale od śmierci naszego dziecka jakoś się załamałeś, bardzo się zmieniłeś...

— Nie waz mi się wspominać dziecka! Nie waz mi się, rozumiesz —



Diabelskiej Przełęczy. Kolej będzie jechać po równym terenie. Kto chce dobrovolnie pomóc przy budowie nowej linii kolejowej, niech wstępuje do brygady. Wszyscy chłopcy i dziewczęta z Krzemionkowa zgłosili się do pracy, zarzucili na ramiona kilofy i łopaty, z szop wyciągnęli taczki i ruszyli za łopaczem sztagardem do Diabelskiej Przełęczy. Babka Złatusza, patrząc na nimi przysłoniwszy dłońmi oczy i powiedziała:

— Co za urodziwe chłopaki! Gdyby mój Cenko żył, szedłby teraz ze sztagardem na przedzie.

Długo wycierała zapaską oczy i pochłapywała spoglądając, jak brygada znika jej z oczu za obrą Dojczyną. Pieśń ich, zamilkła w leśnej kniei.

Dziadek Stojne wrócił do domu zły jak osa. Kopnął grabie, które starszuszka oparła o ścianę, pchnął drzwi i potknął się na progu.

— Zniszczyli mnie z kresem! —

powtórzył dziadek Stojne podniesionym głosem.

— Dobrze, już dobrze — odpowiedziała babka Złatusza i wyszła trzaskając drzwiami. Przypomniała sobie ostatnie dni swego syna. Wrócił z sianokosów przed południem żółty jak wosk. Rzucił kosę na środku podwórka i opadł na ławę.

— Matko, zejdź z tego świata! Coś mi kiszkę skreca. Przywołaj prędko ojca i zawieźcie mnie do miasta... Oj, matulu, matulu, strasznie boli... Oj...

Wszedł więc chorego na wóz i pojechał do miasta. Stojne zaczął konia pociągnąć od karczmarza Dojczyną i ocierał spoczone czoło dłońmi. Cały dzień i całą noc trzęsł chorego na nierównej wyboistej drodze. Złatusza siedziała u jego wezłowia i okładała mu czoło wilgotną szmatą. Wargi miał białe od gorączki. Co pewien czas jej drogie dziecko unosiło się i wołało słabym głosem:

— Oj, ten wóz mnie wykończy. Oj boli, matulu! — Oczym się spogłądał, jakby chciał ją pocłonić. W miesie lekarz krzyczał na nich:

— Cemu tak późno przywieźliście chorego? Cóż to za ludzie! Jak można było wieść go cały dzień i całą noc na rozklekotanym wozie? Cemu nie przywołaliście go koleją? Dzielcie ludzi!

— My nie mamy kolei — usprawiedliwiał się Stojne.

— Nie macie! Znam ja was. Żel wam pieniędzy, aż człowieka pochowacie. Wnieście go.

Wnieśli, ale Cenko już oddawał duszę Bogu...

Powzięli z powrotem Cenko tą samą drogą. Teraz był milczący, spokojny, miał zamknięte oczy. Nie go już nie bolało. Czoło jego było zimne jak lód...

— Gdyby żył, poszedłby teraz do brygady, a ojciec nie włożyłby się po karczmarza i nie przepijał majjatk — mruzczała starszuszka.

W nocy śnił się starszuszce jej syn Cenko, jak wraca z obory i prowadzi białe jagnię na postronku Jagniatko beczało żałośnie, aż się serce krapało. „Cemu beczy, biedaczek?” — zapytała babka Złatusza. — „Pić mu się chce, matko. Cały dzień szukałem wody w wyschniętym korycie rzeki, ale wody nie ma ani na lekarstwo — odpali Cenko. Babka Złatusza pobiegła do studni, napełniła wiadra i napolila jagnię. Ale pies zaszczekał na podwórku i przebudziła się.

Z rana, kiedy dziadek Stojne wygnał stado na łąkę, babka Złatusza zakrzętała się i naszykowała wielki gasior.

— Dokąd to? — zagadnęła sąsiadka Dymitrowa.

— A no, pójde zobaczyć, co robią młodzi. I wody im przy okazji zaniosę.

Dziwczęta w białych chusteczkach pracowały zawzięcie przy wyrównywaniu nasypu kolejowego, a śpiew ich przypominał z daleka brzęczenie pszczoły. Ledwie zobaczyły zgarbną robotę cięzarom kobiecie, przerwały robotę, prostując się.

— Patrzcie, babka Złatusza! Co cie sprowadza, babciu? Jak wdrapałaś się po tej kamienistej ścieżynie?

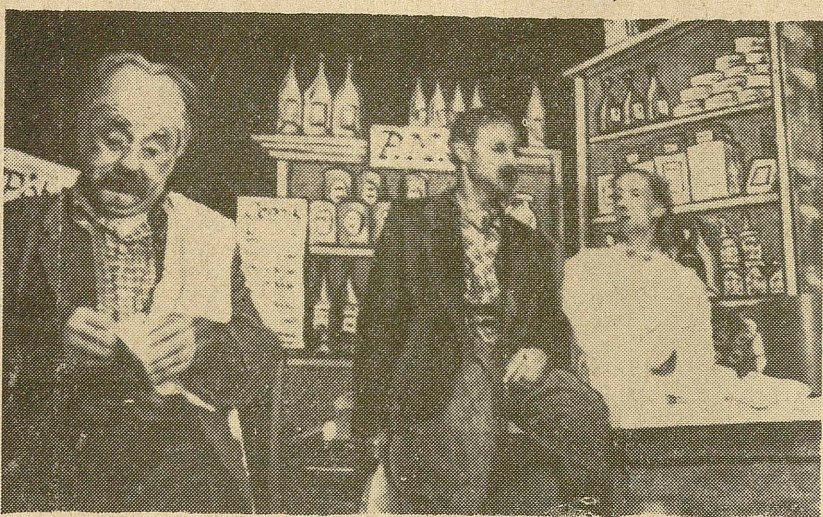
— A no, przyszedłam zobaczyć jak się miewacie i co robicie. Przypomniałam wam też zimną wodę ze studni. Musicie być bardzo spragnione.

— Kochana babciu, dla nas dzwigała taki duży gasior! Nigdy nie pilałam tak dobrej wody!

— Twoje zdrowie babciu! — wołały dziewczęta pijąc zimną wodę. W gasioru bulgotało, jakby ktoś dmuchał w wierzbową piszczałkę.

Starszuszka patrzyła na dziewczęta zafascynowana oczami: Nikt im nie płaci, a pracują jak mrówki. Dziwni ludzie! Możliwa się dla biedoty. Gdy wypili wodę, starszuszka zarzuciła na ramię pusty gasior i wróciła do wsi; oporządziła dom, zabym głosem:

(Dokończenie na str. 7)



Na widowisku Drygasa i Sikiryckiego w Łaznowie.

ALEKSANDER JAWICZ

GS-y, ludzie i sztuka

(Co mówią chłopcy o widowisku Drygasa i Sikiryckiego?)

Buł kiedyś w Łaznowie inny, poprzedni komitet sklepowy G. S. Komitet ten, jak ów u Drygasa i Sikiryckiego, na zadanie łaznowskich chłopów został rozwiązany, zmieniony. Wadnie do tego przyczynił się przede wszystkim ZSCH, Męcinkowski, który opinie ogółu ujął, i bardzo słusznie, pod uwagę bardziej niż trudności natury formalnej, wyszukane przez wysoki brzeziński PZGS. Dziś, z perspektywy czasu, łaznowiacy podchodzą do tej sprawy w dyskusji z półśmiechem: — „Ano, był sobie Żytko, a może dwóch takich! Nie chodziło właśnie akurat o ręcznik, wiadro czy spłuwaczkę, lecz o odmianę o białe płótno, garnki i lemiesz. Fakt był jednakże faktem, w przyszłości, skutkach taki jak zawsze, gdy kum z kumotrem pokuma się. Ale oto nastąpiła zmiana. Przyszedł nowy komitet, nowi ludzie, nowe stosunki, a jednak...

Jest niewątpliwą zasługą autorów, że na ostrzu noża, a przecież umiemy, w nieskomplikowanej a wymownej satyrze postawili problem „stosunków w G. S.”. I tylko dlatego, że satyra ta nie jest oderwaną fikcją — twierdził średniak — Marian Binek i mówili inni, że — „sztuka się podobaa... sztuka jest morowa... sztuka jest POTRZEBNA”.

Z drugiej strony jednak, jeśli Malczykowa, przedstawicielka DOBREGO komitetu sklepowego zaatakowała pozycję wyjątkową autorów to dlatego, że w Łaznowie, jak i wreszcie zresztą, nie uszczęśliwili jest winna Spółdzielnia Gminna. Czy autorzy mieli prawo umiejscowić w utworze wszystkie mankamenty wyłączone na najniższym szczeblu i założyć, że już w powiecie uszczęśliwili przebiega idealnie. To jednostronne założenie — niejedną gminą przyjęte krytycznie, tak jak Łaznowo, nie przekonany posagowością prezesa Koziołka i jego wielkimi słowami „o głosie sumienia społecznego”, jak i ministerialną postawą wteńdy, gdy dany PZGS nie realizuje zamówień, nie reaguje na monity i wnioski terenowe, a i w planowaniu...

W planowaniu, na przykład, przykładu chleba i cukru, brzeziński PZGS okazuje się szustynny. Na terenie gminy buduje się w tej chwili poważną inwestycję Planu: rurociąg od Niebieskich Źródeł ku Łodzi... Tysiąc, albo i ponad tysiąc robotników napływało „zaudłnito” gminie. Zapełnione mają oni prawo zaopatrzyć się w miejscowych GS-ach w kawałek chleba, trochę cukru czy wędliny. I zapewne winni oni to uczynić bez szkody dla mieszkańców, jak i bez ograniczeń dla siebie... A oto i Łaznowo i sklep w Rokicnach otrzymują wciąż niezmiennie ilości nierzywna i cukru, czy dawne przydziały tygodniowe wędliny. I nic tu nie pomaga alarmowe sygnały uczciwie pracujących komitetów.

Jasne, że autorzy nie pisali swej sztuki dla Łaznowa, ale jasne też, że nie tego żądają łaznowscy dyskutanci. Powiadają oni jednak wyraźnie: „czekamy by u najbliższych czasie autorzy jeszcze głębiej sięgnęli ostrzem satyry”. Tak jak jest zaskutkiem autorów, że mobilizują skuteczną gromadzkich i gminnych widzów teatralnych do walki z negatywnymi postaciami życia społecznego przez wykazanie na scenie ich szkodliwości, przez obrazowe przedstawienie co to znaczy walka klas na codzień na wsi, tak winno stać się jaknajbardziej ich zasługą zdziwienie aktywno większego do świadomości współdziałania w walce ze starym, na rzecz nowego także i na wyższym, od gminnego, szczeblach! Bo „sztuka rozszerzona i pogłębiona dalać jeszcze więcej przeżyć widom i zrozumieć konieczność STALEJ CZUJNOŚCI... Sztuka o pracy komitetów sklepowych nad rozdaniem towarów jest już o tyle spóźniona, że OBECNIE komitety mają już SZERZSZE ZADANIA. Trzeba i o tych sprawach POWIEDZIEĆ — jak to wyrażone zostało w uwadze St. Krakowiaka, producenta korespondenta „WSI”, właśnie z Łaznowa, uwadze wpisanej do księgi pamiątkowej „Artosu”.

Dla mnie te słowa o powiązaniu z całością dyskusji nie są niczym innym, jak konkretnym zamówieniem społecznym dla Drygasa i Sikiryckiego i dla innych autorów, na nową, jeszcze bardziej na gorąco chwytającą bieżące potrzeby wsi sztuki, oraz wyrażami szerszego uznania dla łódzkiego „Artosu” za

jego niewątpliwie szczęśliwą koncepcję wyjścia na wieś z programem całopiekłowym i współczesnym, w miejsce dotychczasowych wyłącznic estradowych wypałów „składankowych”, nie zawsze na dobrym poziomie.

Najbardziej „użyło mnie” w łaznowskiej dyskusji to, że zabierający głos najszerzej komentowali postać Żytki — zarówno w sztuce, jak i w życiu. Kiedy pytano, dlaczego gniew ich sięga szczególnie tej postaci, gdy głównym „czarnym charakterem” jest przecież w sztuce Kierownik GS, a Żytka chwiejnym, słabym, uległym, lecz przecież z gruntu niezłym człowiekiem — o tym samym odpowiedź, „dlatego, że pan Żytka zawiódł zaufanie gromady, bo jego właśnie postawiono po to, by czuwał, jak kierownik pracuje?”.

Kiedy przed wyjazdem rozmawiałem kilka minut z Drygasem i Sikiryckim o ich założeniach w sztuce „Co komu winna spółdzielnia Gminna”, wyjaśnili mi krótko: — „Wzbudzić czujność, wskazać na rolę czynnika społecznego i na niebezpieczeństwo wynikające z niewłaściwego ustawienia tego czynnika”.

Łaznowskie wypowiedzi najlepiej świadczą, że to założenie autorów zostało spełnione w całej rozciągłości...

Są w sztuce i drobne niekonsekwencje autorskie i uproszczenia i drobne niedociągnięcia reżyserskie. To nie jest ważne, ale to już zobowiązuje. Najważniejsze jest, że zarówno ideowo jak i pod względem całokształtu formy artystycznej i scenicznej, sztuka jest godna uwagi, słuszną, pożyteczną.

Wspomniane jednak drobne niekonsekwencje powodują uwagi widów. Jak powiedziałem, nie przekonuje zbyt posagowa postać inspektora z powiatu, który z nieuzasadnioną cierpliwością wysłuchuje negocjacyjnych tyrańd kierownika GS, gdy rzecz kwalifikuje się do zdecydowanej jakiejś reakcji, nie przekonuje założenie (dopiski zresztą pozautorskie), że amant Zosi ucieka od niej ze względu na groteskową urodę, gdy warunki, według intencji reżysera, nie zezwalają na przyjęcie przez widza tej wersji. Nie przekonuje sytuacyjność, w której inspektor z powiatu, przyjeżdżający na ciężką bądź co bądź pracę, ani gestem ani słowem nie scenie przez ani jeden moment nie pracuje, wydając natomiast polecenia wykonania „koncertów” w czasie godzin pracy mimo że rzecz dzieje się przecież w dobie obowiązującego dekretu o socjalistycznej dyscyplinie pracy. Autorska intencja niewątpliwie szła tylko w kierunku „patrzenia przez palce” na „dyplomatyczne wybiegi” kierownika G.S., co więc tu „nie zagralo” w realizacji zamysłu. Oczywiście wszystko to są szczegóły, ginące w dodatnim wrażeniu z całości.

Na zakończenie kilka słów niewątpliwie należy się aktorom. Bielecki w roli powiatowego rewiżora jest w kwestiach i gestach dobry, jednakże za bardzo przejął się „posagowością”, być może narzuconą z góry, wskutek czego jest dygnitarzem, a nie powiatowym prezesem spółdzielni. Wrażenie to pogłębia jeszcze kostium nietypowo wykwinny jak na podróź roboczo-inspekcyjną. Na duży plus zaliczyć trzeba Bieleckiemu usiłowanie mimicznego podciągnięcia łuk w akcji, jakie jemu jednemu właśnie w sztuce przypada. Choćewa data zupełnie poprawna Zosie, co zasługuje na uwagę szczególnie, jako że na scenie nie znalazła się po raz pierwszy. Ponosi ją jedynie chwilami „rym pozytywności”, gdy powinno być inaczej. Buchta w roli kierownika jest nierówny. Przyczyn tego szukać jednakże należy w... aplauzach, jakie zbiera Szyndler uduńną zewnętrznie i aktorsko groteska Żytki, Buchta bowiem wyraźnie rezygnuje chwilami z właściwych oddziań swych postaci na rzecz efekciarstwa. A do wciup w tym, że efekciarstwo jest na miejscu tylko i wyłącznie w Szyndlera. Toteż tam, gdzie Buchta jest sobą — daje dobrego Kierownika.

W sumie: więcej takich sztuk dla wsi i więcej całopiekłowych ekip wyjazdowych „Artosu”.

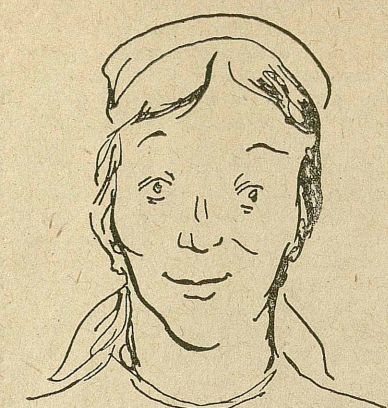
Aleksander Jawicz

WOJCIECH DRYGAS i IGOR SIKIRYCKI

„CO KOMU WINNA SPÓŁDZIELNIA?”

(Część pierwsza widowiska satyrycznego)

dzi, moi kochani, to jestem właśnie ja...
Żytko: Wy?
Kierownik: Mówiliście coś?
Żytko: Mówię, że u was w obórze



Kierownik (zwraca się do widowni): Wezwaliśmy was tutaj, moi drodzy, aby te towary rozdzielili między chłopów naszej gromady. Dzielić będziemy komisynie przy wydatnej pomocy naszej sklepowej, panny Zosi (kłania się sklepowej) i pana Żytka tzw. czynnika z komitetu sklepowego (ukłon w stronę Żytka). Skoro więc jesteśmy w komplecie — dzielimy po sprawiedliwosci...
Zosia: Nikt nam nie będzie przeszkadzał, panie kierowniku. Sklep zamknięty na cztery spusty!
Żytko: Oto lista z nazwiskami chłopów...

Kierownik: Żadne listy, panie Żytko, żadne listy. Dzielimy wedle sumienia... Sumienie nas nie oszuka, panie Żytko!
Żytko: Niech będzie wedle sumienia...

Zosia: Dzielimy, dzielimy! Czas ucieka!

Kierownik: Na pierwszy ogień ta paczka...

Zosia: A kuku? (do kierownika) Zgaduj zgadula!

Kierownik: Pstro w głowie u panny Zosi. Co jest w tej paczce?

Zosia: Wiadra!

Żytko: Dwa... cztery... osiem... dziesięć. Dziesięć cynkowych wiader. Komu przydzielili te wiadra? Bo według mojej listy wypada...

Kierownik: Dajcie pokój liście, panie Żytko. Odwołajmy się do głosu

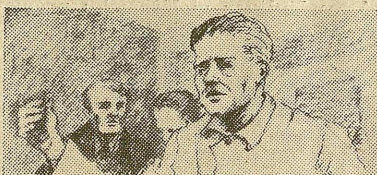


sumienia. Na trzy wiadra mam już wytypowanego nabywcę. Lepiej kandydatury być nie może, zarówno pod względem ofiarności w pracy i oddania sprawie, jak i pod względem przyjemnej powierzchowności, no i w ogóle...

Zosia i Żytko (razem): Kto to jest?

Kierownik: Co tu dużo się rozwo-

JAN KOPROWSKI



PO powrocie ze Śląska podrażałem do mojej fabryki. Akurat trafiałem na zebranie wyborcze organizacji partyjnej. Ciągnęło się dość długo, bo od godziny 17 do 22. Siedziałem jednak chętnie, ciekawo spraw i ludzi.

Najciekawsze przemówienie w dyskusji wygłosił słuszny Kopecański, przewodniczący klubu racjonalizatorów. Mówił jakimś własnym językiem, w sposób żywy i dowcipny. To, co zdołałem zanotować, to tylko strzępy jego przemówienia. Powiedział m. in.:

— Pięknie, ładnie w referacie. Wiele napisano, jeszcze więcej zapomniano. Nasz zakład otrzymał 27 odznaczeń (brązowych i srebrnych krzyżów zasługi), zna nas cała Polska jak długa i szeroka, a w sprawozdaniu o tym ani słowa. To człowieka serce boli. A ja chociaż jestem stary, to jednak jestem młody i wszystko mi obchodzi i ciekawi. Organizacja partyjna odesłana była od mas. Nie rozmawiała z ludźmi, nie wie, co kogo boli, co mu dolega. A teraz weźmy tego Głowackiego. Zabrał się i poszedł z niejednego zebrania. A na zapytanie, dlaczego odchodzi, odpowiada: „Mam już dosyć tego dobrego”. No to jakież to przewodniczący ZMP? Nic nie powiedziano w referacie o ekiole łączności miasta ze wsią, a my przecież jeżdżymy do Bogdanki, reperujemy w POM maszyny, pomagamy ludziom, a i nasz zespół amatorski też jeździ. No to jak?

A nasi przewodnicy pracy też nie zawsze usładowieni. Wykazują się niby w robocie, ale jak chociażem powieści ich fotografie na tablicy, to żaden z nich mi nie dał. Mówią, że nie mają zdjęć. No to ja zamówiłem fotografa. Oni nie poszli. Wstydzą się, widzą, czy jak? Chciałem sobie nawet kupić sznurek, żeby na nim poprowadzić naszych przewodników do fotografii. Niejeden z nas to jeszcze płaszczy na dwóch ramionach nosi. Towarzysz Kupczyk radził ogląda na zebraniu klubu racjonalizatorów, dyrektora też się tym nie bardzo zajmuję. Jedną z kobiet, pierwszą w naszym zakładzie, złożyła projekt racjonalizatorski. Na komisji wszyscy mówią: „To się nie nadaje, to nie da oszczędności”. A Olczyk to nawet powiedział, że ja ja namówiłem, by

jedna krowa i dwa tuczniki. Na co więc wam aż trzy wiadra? Na co? Kierownik: A na to, żeby było higienicznie. Przyjemnie by wam było żreć ze mną jedną łyżką z tego samego talerza i chlać z jednego kieliszka. Co prawda nie jestem krostopaty i kobiety nie powiem przynajmniej za mną, ale przyjemnie by wam nie było. To samo jest i z gazdą. Jak mogę mojej krowce podawać karmę w tym samym wiadrze, w którym przed chwilą maczała ryj zwykła świnią? I dlaczego jednej świni obryzdać żarcie widokiem drugiej? A tak każdy zwierzątk będzie liżał własne wiadro: krowa swoje i każdy tucznik swoje. Bezdie higienicznie i po sprawiedliwości...

Zosia: Ja też mam krowę i dwie zakontraktowane sztuki...

Kierownik: Niech się panna Zosia nie martwi, wiader nie zabraknie. Pan Żytko także samo dostanie trzy waderka. Rozdzielmy sprawiedliwie...

Żytko (głosem płaczącym): Chłopi będą narzekać! Były wiadra, powiedzą, co Żytko zrobił z wiadrami? Jak podzielił wiadra, łobuzie jeden? Wyspowiadaj się! Co ja wtedy powiem chłopom? Ze wiadrom nogi urosły? Czy jak?

Kierownik: Powiecie im to, co wam nakazuje głos sumienia. A głos sumienia wam mówi: Żytko, to, co się dzieje na komisji rozdziału, jest tajemniczą służbą. A tajemniczą służbą zdradzać nie można, bo tylko wróg zdradza tajemnice. A wy przecież, panie Żytko, wrogiem nie jesteście. Wy jesteście pozytywnie ustosunkowani...

KARTKI Z DZIENNIKA*)

ten projekt złożyła, że wsadziłem jej nos we właściwe miejsce. A kobiety znowu boją się, że im normę urwa.

Może ten wynalazek dla groszowej oszczędności? Może. Ale zrozumcie, jakie to ma głębokie znaczenie polityczne, że pierwsza kobieta złożyła wniosek racjonalizatorski!

Gdy Kopecański skończył, posypały się rzęsiste brawa i dopiero jego przemówienie ożywiło dyskusję.

Przewodniczący ZMP — Głowacki, na wystąpienie którego czekałem z taką niecierpliwością, zawiódł moje oczekiwania. Czulem zresztą, że i zebrani nie są z jego wystąpienia zadowoleni. Mówił sucho, beznamiętnie, nie czuło się u niego żadnego emocjonalnego ostosunku do poruszanych spraw. Nie ustosunkował się do zarzutów, postawionych w referacie Kupczyka i w przemówieniu Kopecańskiego.

W przerwie między wyborami nowych władz partyjnych, Głowacki wyszedł. Gdy go w korytarzu spytał, czy wróci na salę, odpowiedział: „Ja już swoje skończyłem”.



Wtorek, 28 kwietnia. **D**AWNO nie rozmawiałem ze świetliczanką. Gdy zaszedł do niej, siedziała w świetlicy jakaś starsza robotnica i z gorzkością mówiła o rękodzielnictwie dzieci dla rodziców. Jestem wścibski, więc wtargłem się do rozmowy.

— Już ja wiem, co mówię — odparowała. Człowiek chucha na dzieci, dmucha, pieści, niańczy, a jak to dorosłość, uszanowania rodzicom nie da. A już o pomocy jakiej, szkoda mówić.

— Była tak, była i inaczej. Nie wszystkie dzieci jednakowe — wtargłem znowu.

— Przeważnie, panie, to wszystkie takie. Mam tu niedaleko znajomą, co ona się namarzyła, żeby mieć dziecko. Co się jakie urodziło, to zmarło. Już nie miała siły chodzić na pogrzeby, za ostatnim dzieckiem pojechała na cmentarz dorozką. Z żalu nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Ale w końcu dochodziła się trojga dzieci. Zebysz pan wiaderko, co ona się nasterała, cudów dokazywała ta kobieta. Dziś już te dzieci dorosłe, każde z nich na swoim, a matki żadne nie wzięło do siebie.

Robotnica umilkła, popatrzyła to na mnie, to na świetliczankę, Pela-

Żytko (uderza się żarliwie w pierś): Dalibóg, że jestem...

Zosia: Zobaczenie co tam jeszcze przysłał.

Kierownik: No, ruszcie się szybko do tej drugiej paczki... tam pewnie coś lepszego będzie...

Żytko (pochylając się nad paczką): Peśa kości stoi napisane sto sztuk, a każda sztuka osobno zawinięta...

Zosia: Umieram z ciekawości.

Żytko: Spłuwaczka! (wybuch śmiechem). A niech ich donder świsnie, co to na wieś przysyła?

Kierownik: Nie ma się z czego śmiać, panie Żytko, przysłał, to znaczy planowo nam się to należy, jak się należy, to trzeba sprawiedliwie podzielić.

Zosia: Wedle sumienia.

Kierownik: A sumienie mi mówi, że tym chłopom z listy też się coś nie coś należy. Daj pan listę, panie Żytko (bierze listę z ręki i mówi): O, pierwszy Kowalik...

Żytko: Kowalik już pół roku czeka na wiadro.

Kierownik: To niech poczeka: na razie zamiast wiadra przydzielimy mu pięć spłuwaczek... i to blacha i to blacha...

Zosia: Ale pan kierownik ma głowę zupełnie jak ten mój były Walec...

Kierownik: A dla reszty chłopów po cztery spłuwaczki i po kłopoty.

Żytko: Oj, czuję, że to sumienie boham nam wyjdzie.

Zosia: (razem)

Kierownik: Bo u nas zawsze wedle sumienia

Podział towarów odbywa się.

W innych spółdzielniach listę się zmienia, a u nas nigdy, a u nas nie!

Zosia: Po co biedniakom wiadro

czy płótno?

po co flanela, papa

W sklepie biedniaka wspominać smutno,

Lepiej kuliaka do sklepu wpuść.

Żytko: Kuliak pomaga plan nam

wykonać,

Bo kuliak zawsze pieniądze ma.

Kierownik: Bardzo przepraszam, nie tylko kuliak.

Zosia: I ja.

Żytko: I ja.

Kierownik: I ja.

Zosia, Żytko, Kierownik:

(razem)

Po co biedniakom wiadro

czy płótno

(Dokończenie na str. 6)

papierosa — złożył Maciarek. A

muszę wam powiedzieć, że jak go

pierwszy raz namawiałem do tego,

to słuchać nie chciał, a raz to rzu-

cił się na mnie z młotkiem, bośmy

robili razem przy jednym warsztacie.

Poprosiłem wtedy, żeby mnie

prz. jeśli. Widać nie byłem naj-

gorszy, bo właśnie po przeniesieniu

się na inny oddział, Maciarek za-

czął mnie odwiedzać. Z początku

nieśmiało, z czasem tak się zbliżył,

że nie było dnia, w którym by ze

mna nie rozmawiał. Pytał o różne

rzeczy, radził się. Teraz ma on już

za sobą 50 pomysłów racjonaliza-

torskich. Kiedyś powiedział do

mnie: „Ja muszę być pierwszy”. Roz-

kreśliłem go, trza ludzi zachęcać.

Ale teraz, kiedy już wiem, że się z

tej drogi nie cofnie, to ja mu poka-

żę, gdzie raki zimują. Nie dam się

przegonić.

Czwartek, 21 maja.

W MŁODZIEŻOWYM Domu

Kultury odbywał się festi-

wal zespołów świetlicowych.

Od godziny czwartej po południu

do dziesiątej wieczorem przesunął

się przez scenę niejedni korowód

taneczny, śpiewał niejedna chór,

grała niejedna orkiestra. Między

przerwami recytowały - amatorzy

deklamowali wiersze. Trzeba po-

wiedzieć, że te recytacje wypadły

najslabiej. Najwyższy poziom o-

siały chóry. Jakis człowiek sie-

dzący obok mnie mówił: „Widzisz

pan, powiadają, że Polacy nie u-

mieją śpiewać. Cholera w bok! Słyszysz pan, jak ciagnęli?”

Tańce wypadły średnio. Z or-

kiest najlepiej popisał się zespół

Łódzkiej Fabryki Maszyn. Bardzo

pragnąłem, żeby właśnie oni wy-

padli najciekawiej. Aż mnie ponosi-

ło, gdy po odsłonięciu kurtyny uj-

rzaliśmy ich na scenie. Grali z w-

erwą i bezbłędnie. Oklaskiwano ich

zręście. Dyrektor Ratajczyk sie-

dział podmonowany i przejeży.

Po zejściu ze sceny winnowałem

grajacym. Nie mogłem wytrzymać,

żeby do nich nie podejść. Człowiek

uważa ten zespół już niejako „za

swój, toteż nie dziwnego, że budzi

się ambicja, by był on pierwszy.

Na sali widziałem również Głow-

ackiego. Wpadł jak burza, kreślił

się, nie mógł sobie miejsca znaleźć.

Potem zniknął mi z oczu.

Jan Koprowski

*) Patr — początek w numerze poprzednim „Pierwszy tydzień w fabryce”.

STANISŁAW PIOTROWSKI

O pełny udział w walce*)

RUCH świetlicowy nie jest czymś odrębnym, wyizolowanym. Jest on częścią składową całokształtu frontu ideologicznego walki o nową wieś, o nowego człowieka, świadomego współwzrostu nowych dzieł narodu polskiego. Doniosłość i specjalne znaczenie ruchu świetlicowego polega na jego masowości, na możliwościach oddziaływania politycznego na szerokie rzesze chłopstwa. Znaczenie ruchu świetlicowego, jego form oświatowych i artystycznych polega na tym, że oddziałują na odbiorcę masowego, a jednocześnie stwarzają pełne warunki do wzrastania i współtworzenia kultury przez członków zespołu, jako odbiorców, wykonawców, realizatorów. W takim rozumieniu ruch świetlicowy jest wielką szkołą, wychowującą aktywną gromadzką, jest bazą oddziaływania ideowego na całą gromadę oraz realnym wkładem do tworzącej się nowej kultury socjalistycznej.

*

Co winno być podstawą oceny pracy świetlicy, podstawą zakwalifikowania jej do dobrze lub źle pracujących?

W tym zakresie istnieją nieporozumienia. Niektórzy aktywiści, działacze kulturalno-oświatowi zbyt formalnie zewnętrznie patrzą na tę sprawę. Wystarczy dla nich frekwencja znośna, oraz stwierdzenie, że jakiś zespół, najczęściej taneczny, przygotował jakąś imprezę, aby orzec, że świetlica dobrze pracuje, bo jest czynna. Bez względu na to, jak jest to dodatnie, jest jednym z elementów oceny, ale nie wystarczające. Aby imprezę zakwalifikować do osiągnięć dobrych, należy ją przeanalizować od strony jej funkcji społecznej, o ile przyczynia się do wzrostu świadomości społecznej środowiska, o ile miała treść bojową, ofensywną, słuszną politycznie, o ile zaspokoila klasowe potrzeby kulturalne, o ile przyczyniła się do wzmocnienia walki o nowe życie na wsi.

Zatem działalność kulturalno-oświatowa, praca świetlicy wtedy jest dobra, kiedy weszła w środowisko, zapewniła sobie szeroki udział mieszkańców, wytworzyła kolektyw aktywności, realizuje przemysłowe polityczne plany pracy, w wyniku czego przyczynia się do wzrostu świadomości społecznej środowiska, promieniuje jednocześnie na sąsiednie gromady.

Dobra świetlica, to placówka o wyraźnym obliczu socjalistycznym, to placówka, w której nie ma miejsca na bigoterię, na dewocję, na religianctwo, na zabobon, na penetrację i podżucanie wrogiej propagandy, gotowane w kuchni watakańskiej i amerykańskiego imperializmu.

Dobra świetlica, to placówka, która umie rozbudzić zainteresowanie kulturalne i umie je zaspokajać zdrowym pokarmem kulturalnym, zdrową książką, zdrowym przedstawieniem, zdrowym śpiewem i zdrową rozrywką. W wyniku jej pracy wyrasta człowiek twórczy, rewolucyjny, miłujący i realizujący zadania postępu na naszej wsi.

Przy ocenie pracy świetlicy gminnych należy dodać jeszcze jedno wymaganie, a mianowicie, jak one wywiązują się ze swych obowiązków pomagania wszystkim świetlicom, gromadzkim znajdującym się na terenie ich gminy.

Przy takim postawieniu zagadnienia i przy takich wymaganiach oceny świetlicy wiejskich stwierdzimy, że odnieść jej pracy mimo bezspornych osiągnięć, obserwowanej poprawy, posiada jeszcze dużo braków, ma jeszcze w masie swojej dużo do przezwyciężenia, a by świetlica stała się prawdziwym kuźnią masowego wychowywania mocnych charakterów, ludzi ustroju socjalistycznego, stojących mocno na niewzruszonych podstawach sojuszu robotniczo-chłopskiego, patriotyzmu ludowego i przyjaźni między narodami, przyjaźni braterskiej do Wielkiego Związku Radzieckiego.

*

Całość prac świetlicowych daje się ująć w trzy grupy, a mianowicie: prace oświatowe, artystyczne i propagandowe masowe.

Prace oświatowe świetlicy prowadzone są w zasadzie w ramach zespołów: czytelnickich, samokształceniowych, Wszechnicy Radiowej, kursów języka rosyjskiego i akcji odczytowej. Wśród samokształceniowych należy wyodrębnić zespoły oświaty rolniczej. Ilość zespołów oświatowych na wsi jest duża. Według orientacyjnych danych, przekracza ona liczbę 11 tysięcy. Jednak w porównaniu do ilości świetlic wiejskich jest ona zbyt mała, bo przecież nie wypada nawet jeden zespół na każdą świetlicę. Jeśli weźmiemy pod uwagę i ten fakt, że produkujące świetlice mają ich po kilka, o czym mówili przytoczone przykłady, to stwierdzić należy, że jeszcze dużo świetlic ma zasadniczą lukę programową, że t. j. tym odcinku zaniedbania i braku są bardzo duże.

Wśród zespołów samokształceniowych najwięcej jest rolniczych i to dobrze, ale ilości to nie wystarczy. Winno one być w każdej świetlicy. Na ich bazie winien następo-

wać jeszcze większy udział w pracy świetlicowej pracowników powszechniania kultury rolnej, młodzieży i nauczycielstwa szkół rolniczych.

Zbyt mało jest nadal zespołów światopoglądowych.

Akcja odczytowa nadal przebiega dość przypadkowo, bez przemysłowego planu świetlicy. Opiera się ona raczej na obsługiwaniu przez TWP, TPP-R, przez władze powiatowe, ale nie w oparciu o wspólnie przemysłany plan świetlicy. Dlatego zdarzają się przypadki przypadkowych tematów, przypadkowych, nie przygotowanych odczytów. Bardzo rzadko są one uatrakcyjnione, zarówno od strony formy, jak i pomocy ilustracyjnej.

Należy przyznać, że wśród zespołów oświatowych najlepiej rozwijają się zespoły czytelnickie, choć nadal jest ich zbyt mało w stosunku do możliwości środowiska wiejskiego, ilością swoją nawet nie dorównują ilości świetlic.

Obecnie zadaniem głównym jest jeszcze większe spopularyzowanie książki, przeniesienie jej budującej treści do praktyki dnia codziennego. Wykorzystanie jej siły wychowawczej.

Drugą grupą zespołu form kulturalno-oświatowych, przez jakie działa świetlica, są zespoły artystyczne, w skład których wchodzi zespoły teatralne, muzyczne, taneczne, plastyczne i rozrywkowe. Odgrywają one dużą rolę w oddziaływaniu kulturalno-oświatowym na środowisko. Dzięki swej atrakcyjności przyczyniają się do ożywienia świetlicy, do zapewnienia jej coraz większej frekwencji całego społeczeństwa, a przede wszystkim młodzieży.

Ta forma pracy ma największe osiągnięcia na terenie świetlic. Mówi o tym największa liczebność tych zespołów. Prawie każda świetlica wiejska posiada zespół artystyczny, ale są takie, które mają zorganizowane zespoły we wszystkich formach tej grupy. Według orientacyjnych danych kilkanaście milionów widzów uczestniczyło na imprezach zespołów twórczości amatorskiej. Zespoły te są dużą bazą oddziaływania ideologicznego i kulturalnego na widzów, odbiorców oraz wychowawczego w stosunku do członków tych zespołów. Jak np. kierownik świetlicy gminnej, ob. Józefko Stanisław, ze wsi produkcyjnej Siedlone pow. Wschowa w swym sprawozdaniu wyjaśnia, w jaki sposób udało mu się przekonać wahającego się chłopca, aby wstąpił do spółdzielni produkcyjnej. Zespół teatralny świetlicy wystawił sztukę pt. „Zaprzęg konia”. Sztuka została przede wszystkim wspólnie przeczytana i przedyskutowana. Rolę wahałego się średniaka przydzielono chłopcu, który przeżywał podobny konflikt Rola, którą grał w sztuce, przekonała go ostatecznie i wahał się średniak przystąpił do spółdzielni produkcyjnej wraz z trzema braćmi i najbliższymi sąsiadami.

Oceniając ogólnie ruch amatorski na wsi, należy stwierdzić, że ma za sobą poważne osiągnięcia, jeśli chodzi o jego masowość, jednak nadal nie umiał do reszty przezwyciężyć trudności ideologicznych, repertuarowych trudności w dopracowywaniu się coraz wyższego poziomu artystycznego, trudności w stałym utrzymywaniu zespołów i zapewnieniu im ciągłej planowej pracy.

Zespoły te nadal odczuwają brak dostatecznej pomocy fachowej, a szczególnie zespoły muzyczne. Nie zostały do tej pory należycie zorganizowane zespoły plastyczne, a szczególnie twórcy sztuki ludowej nie znaleźli należytego oparcia o domy kultury i świetlice gminne i nie wnieśli jeszcze swego wkładu, swych uzdolnień artystycznych do wnętrza placówek kultury i nie nadali im charakteru plastycznego regionalnego. I Narada Twórców sztuki Ludowej, która się odbyła w tym roku, postawiła wyraźnie te zadania, ale realizacja ich jeszcze nie została przeprowadzona. Tak samo niewiele zespołów pokusiło się o wprowadzenie do repertuaru własnej twórczości znanej na wsi formy przysłówki okolicznościowych, opartych o znane ludowe melodie.

Najliczniejszą grupą są zespoły teatralne. W pracy ich obserwujemy przejściowo zjawisko ucieczki do tematów historycznych lub szukanie wątpliwej jakości repertuaru neutralnego, jeśli taki istnieje. Świadczy to o jeszcze niedostatecznej pracy politycznej wśród członków zespołów, świadczy to o braku bojowości świetlicy. Przyczyna należy, że występują jeszcze trudności w zdobyciu odpowiedniego repertuaru. Repertuar jaki istnieje na rynku księgarskim, ma jeszcze luki tematyczne. Brak jest ciekawej satyry, bojowej komedii z życia wiejskiego brak jest sztuk, których akcja toczyłaby się w spółdzielni produkcyjnej. Nie mniej istnieje wśród repertuaru wydanych realna możliwość, aby zapewnić właściwe zaopatrzenie się zespołów.

(Dokończenie w następnym numerze)

*) Obszerne fragmenty z referatu wiceministra Piotrowskiego na Krajowej Radzie Kierowników Świetlic Wiejskich.

ANIĘLA DASZEWSKA

NA ZIEMI LUBUSKIEJ

NOWE Kramsko to duża wieś w gminie Babimoście na Ziemi Lubuskiej, opodal dawnej granicy. Nowe Kramsko robi wrażenie małego miasteczka. Ma ładne, niezniszczone domy i około 1500 mieszkańców.

Zaledwie front przetoczył się na zachód, Babimoście wyszło do Kramskiemu. W Poznaniu trzech delegatów - chłopów, Lucjana Brudno, Tomasza Kociołka i Pawła Budzicha z prośbą o utworzenie polskich szkół. Już w marcu 1945 r. przystąpili tu dwaj nauczyciele, Kędzierski i Sauter, uruchomili szkoły polskie w Babimóście i Kramsku. Z kolei organizowali szkolnictwo w sąsiednich wsiach i kursy repolonizacyjne, których w samym tylko Kramsku i najbliższych wsiach było 15 z 458 uczestnikami. Należy podziwiać w tych trudnych warunkach tempo pracy, zapał i patriotyzm tych, którzy tu mieszkali od pradziadków i tych, którzy przybyli budować i organizować nowe życie.

W Babimóście, tak jak w całym polskim, silne były wpływy kościoła, kapitalistyczny wyzysk przybierał tu specyficzne formy.

Rozwarcie chłopstwa w Kramsku wzrosło przez bogacenie się kulaństwa na parcelacjach folwarków. Od 1909 r. nie ma tu majątku obszarniczego. Wystarczy posłuchać dziś jeszcze powszechnie w potocznej mowie określenie „mali ludzie”, aby stanąć oko w oko z pozostałością feudalnego wyzysku społecznego. Te formy wyzysku przejęli kulacy od obszarnictwa wraz z miejscem w hierarchii społecznej.

„Mali ludzie”... A więc wystarczy, aby gospodarz zapukał rano do okna: — „Hej Agnieszko! Niech Agnieszka przyjdzie dziś do piekarni bułówek!” I Agnieszka szła bez szemrania, jak przystało na tutejszych „maliach”, wychowanych w moralnych rygorach kościoła. Przecież „za darmo” miała od gospodarza tzw. „śląd” (zagon) pod kartofle. To obowiązuje do wdzieczności. Za „śląd” kupował kulać darmowego robotnika. Za zagon odpracować trzeba było po 60 — 70 dni w roku. Gospodarz dodawał czasem trochę mleka albo miankę grochu czy zioła. Zależało to od jego „honoru”.

Co robić? Już 70 dniówek odpracowałam za „śląd” i nie mi nie dać... — pytali bezrolni Kramska przybyłego na te ziemie nauczyciele.

Co? nie robić wcale.

— Ale jak żyć bez „ślądu” pod kartofle?

— Iść do pracy do PGR do Kolesina i Wojnowa, do fabryki w Sulechowie, Świebodzinie, Nowej Soli, Zielonej Górze.

W 1947 roku Gminna Rada w Babimóście z pierwszym przewodniczącym i organizatorem Rady, kierownikiem szkoły Sauterem, podjęła ważną dla biedniaków i bezrolnych uchwałę: znaną „odroboków” na „rozrachunki”. Gminna Rada Narodowa w Babimóście uchwałała tą uchwałę rok wyprzedziła de-

kret państwowy o pomocy sąsiedniej, czym chlubią się radni, pokazując akta gminne z 1947 r.

Kiedy padł projekt tej uchwały na zebraniu GRN kulać, z których składała się rada w 45 proc., żywo zaoponowali.

— Jakże to? Jeszcze tego u nas nie było... „Mali człowiek” woli „śląd” pod kartofle...

— Ale kulać stracił już możliwość decydowania o życiu gromady.

Ziemie kościelne w Kramsku przejął władza ludowa, aby na korzystnych warunkach wydźwignąć je bezrolnym. Ci długi zastanawiali się, czy aby nie jest grzechem wziąć ziemie kościelne. Wahał się, radził, pełnił konfliktów.

Stary drogomistrz, już trochę głuchy, trochę ślepy, Nitschke, dzierżawił od księdza 20 arów. Ale co teraz robić? — pytał skłopotany nauczyciel. — Czy można wziąć ziemie kościelne i nie zapłacić księdzu? Mówia, że to ciężki grzech... Ale wziął i dobrze teraz rozumie dlaczego.

*

W walce o nowe życie w Babimóście nie bierze udział kramski Dom Kultury, jeden z bardziej żywotnych w Polsce. Zajrzyjmy do niego wieczorem, najlepiej w sobotę. Dwa pokoje od hallu zapchane młodzieżą. Chłopów około 100. Jedną grupą ćwiczy śpiew pod kierunkiem instruktora muzycznego, kramszczanina, Józefa Slacheckiego. W nisz okiennej odbywa się prowizoryczne zebranie dwóch drużyn piłki nożnej (jest ich tu aż 4) a do LZS należy 98 chłopów i 15 dziewcząt. W drugim pokoju chłopcy słuchają radia. Kramski LZS otrzymał je od poznańskiej „Warty” jako nagrodę.

Około 50 dziewcząt jest w tej chwili w sali po przeciwnej stronie hallu na kursie kroju i szycia, specjalnie dla nich zorganizowanym przez Dom Kultury. Już drugi trzymiesięczny kurs kroju i szycia „szy” się tu niebawym powodzeniem i frekwencją. Dziewczyny przyjeżdżają i przychodzą nie tylko z Kramska, ale i ze wsi oddalonych o parę kilometrów. Niektóre traktują naukę jako przygotowanie do zawodu i gorąco indagowały mnie, czy w Planie 6-letnim nie powstanie w Kramsku filia jakiejś fabryki, najlepiej byłoby „odzieżówkę”, aby mogły pracować na miejscu.

Na piętrze mieści się biblioteka, istniejąca od stycznia 1953 roku, trzecia, z kolei w Kramsku po szkolnej i gminnej. Liczy już 2000 tomów i 50-osobowy zespół czytelnicy. W ostatnim konkursie czytelnicy wzięli udział 25 dziewcząt zespołu, które w nim przeważają. Najpoczytniejszą w tej chwili książką w kolach starszych dziewcząt w Kramsku jest „Ditta” Nexö.

*

Dom Kultury w Kramsku prowadzi zespół nauczycieli. Kierownik szkoły Sauter wychował sobie młodego zastępcę, zdolnego nauczyciela Ludwika Lange, kierownika

świetlicowego w Domu Kultury. Babka Ludwika Lange, Piwocka, była rodowitą Polką ze Skwierzyny. Matka, Tomiakówna z Kramska. Bracia Lange chodzili do szkoły polskiej. Wobec ucisku mniejszości w Rzeszy było to wyrażne wyznaczenie polskiej przynależności narodowej.

Ludwik Lange zaczął pracować w Domu Kultury latem 1952 roku. W pierwszym miesiącu pracy zorganizował dziewięć zespołów tańców regionalnych, który brał udział w dożynkach krakowskich. Z kolei zorganizował zespół dramatyczny

„rolni”, ale i te najstarsze, które ich matki i babki śpiewają jeszcze niekiedy na tradycyjnych „piórnicach” (darcie pierza). Kierownik Sauter pracuje tu już 8 lat, zebrał ich około 80, aby je wydać i powołać znów do pełnego życia, wzbogacić polską, ludową, narodową, socjalistyczną kulturę.

Znając dobrze tutejszy folklor i pieśni, Sauter przygotowuje również na Festiwal rodzaj ludowego wodewilu z udrumatyzowanym wątkiem miłosnym i społecznym, ilustrowanym ludowymi pieśniami. A więc konflikt stary a jednak w



ny. Po miesiącach ciężkiej pracy, 11 stycznia 1953 r. dramatyczny zespół Domu Kultury wystawił w Kramsku „Moralność Pani Dulskiej”. Grano ją w wielkiej świetlicy gromadzkiej, staraniem obywateli Kramska przerobionej ze starego baraku. 600 widzów, mimo że ogrzewanie sali, entuzjastycznie oglądało aktorów i przedstawienie, które wzbudziło duże uznanie i zainteresowanie przez Dom Kultury. Wskazywał na to talent. Zespół zachęcony powodzeniem, wystawił sztukę w spółdzielni produkcyjnej. Podległ, w Karłowcu, a nawet w mieście powiatowym Sulechowie. W tej chwili jest ona żelazną pozycją Domu Kultury w objazdach po PGR-ach, spółdzielniach i gromadach powiatu. Z kolei zespół przygotowuje się do wystawienia „Matki” Gorkiego.

Ostatnio Dom Kultury w Kramsku podjął bardzo ambitne przedsięwzięcie: Chodzi o zorganizowanie, z okazji zbliżającego się Festiwalu, 60-osobowego Zespołu Pieśni i Tańca. Kierownicy Domu Kultury, Sauter, Lange oraz instruktor muzyczny Slachecki chcą Polsce pokazać stare ludowe tańce babimojszczyzny i zaśpiewać przepiękne stare pieśni. Nie tylko te popularne, które tak chętnie śpiewa tu młodzież przyłada okazji, jak: „Na kramskim kolesiu (stawie) płyną łabędzie...”, „Kramskie dziewczki rade śpią”, „Kramskie zegary”, czy „Na wój-

konserwatywnych, kulaćkich środowiskach chłopskich jeszcze aktualny: — miłość dwójga młodych i przeszkody rodziców z powodu nierówności majątkowych. Wątek społeczny to walka o organizację we wsi spółdzielni produkcyjnej. Zwycięża miłość i spółdzielnia. Młodzi pobierają się i wstępują do spółdzielni produkcyjnej, czym przyczyniają się do jej zwycięstwa. Akcja ilustrowana starą i nową piosenką. Wśród pieśni spotykamy już nowe motywy, nowe treści śpiewane na starą „nutę”. We wstępie do pieśni „Jeszcze kuleć” słyszymy:

Jeszcze kulać ziemie orze, jeszcze pełno ma w komorze, jeszcze hardy jest, taj dana! Lecz kulać my zmierzmy, gdy spółdzielnie założymy, czas już na to, czas. Taj dana! Wspólna radość, wspólna praca, sobokostu się nie opłaca, razem iść już czas, taj dana!

Kramsko stoi przed wielką ofensywą sztuki na stare życie. A kramszczanie umieją pracować. Można przypuszczać, że wspaniała będzie ich spółdzielnia w przyszłości i przodująca. Będą jej strażnicy patriotów, bojownicy sprawy ludu i Polski, którzy tyle lat cierpieli za nią i gineli w faszystowskich, hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Aniela Daszewska

TADEUSZ ŚLIWIŃSKI

MIASTECZKO, KTÓRE ZOBACZYŁO ŚWIT...

KIEDYM pytał, jaka budowla najpierw została odbudowana w Brzegu, (gdzie zniszczenia sięgały 70 proc.) odpowiedziano mi, że... kościół. Ze składek kupców i sklepikarzy; pieniędzy starczyło jeszcze na motocykl dla bratanika księdza proboszcza. W tym też kościele miał się odbyć skomplikowany cud, ale odbył się tylko częściowo. Mianowicie w okresie pierwszych wyborów spłynęły na głowy wiernych. Druga część cudu, pana mikołajczykowego zwycięstwo wyborcze, do skutku, jak wiadomo nie doszło.

Jakiś ważniejszy wydarzenie sprzed kilku lat? Prezesem PSS został niejaki Osucha, który nadszedł swoim zastępcą Kilię. Historia handlu nie zna podobnego wypadku. Prawie wszystkie towary poszły na czarny rynek, a co uczciwszy pracownik PSS... na grzybki. Krótka stosunkowo historia miasteczka na Ziemiach Odzyskanych jest jednak niezwykle pouczająca. Wnikliwy obserwator dostrzeże w niej ogrom, drogi, jaką przeszliśmy od burliwego roku 1945. Tutaj też jawnie pokazuje się zdradzieckie oblicze rodzimej burżuazji, która na ziemi dopiero zaludnianej usiłowała wszelkimi sposobami zbudować dla swoich interesów okopy Sw. Trójcy.

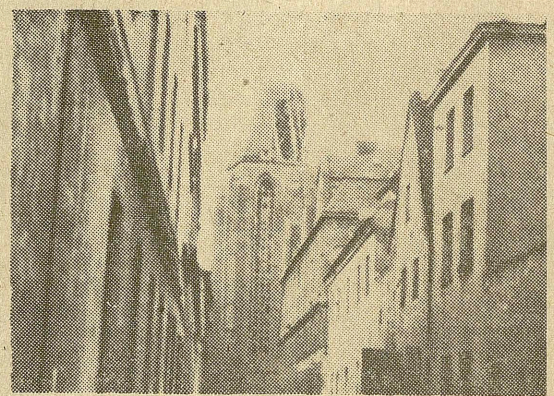
*

W pierwszych dwu latach rej wodziła śmiećka miasta, składająca się z rozmaitego rodzaju przedstawicieli średniej burżuazji, tzw. wolnych zawodów i inteligencji. Młodzież, jak Pan Bóg przykazał, należała do rozmaitych stowarzyszeń katolickich, ZWM wykluwał się dopiero na terenie zakładów przemysłowych.

Przy ulicy Rydla, obecnie Dzierżyńskiego, pracowała w „mikołajczykowski” okresie jedyna biblioteka. Oczywiście prywatna. Wypożyczano tam „arcydzieła” Courts Mahlerowej, Kossak Szczuckiej, Antoniego Marzyńskiego, sensacje kryminalne Napierskiego, nie obito się rzecz prosta bez Zarzyckiej i Staśki. Bardziej zaufani, przeważnie „ludowcy” z PSL, otrzymywali do specjalnego kontemplowania pisma Piłsudskiego.

Oczywiście, że i ta prywatna biblioteka, kolportująca w książkach największą zaradę i nocne przyradki posiedzenia „rodaków” z PSL była to polityczna robota, swoista organizacja kultury, obliczona na potrzeby odrodzonej na pewien czas burżuazji, pilnie nadsluchującej rozkazów jej mocodawców z Zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych. I korpucja w aparacie handlowym i ambona w służbie burżuazji, pomalowanej na zielono. Przewodniczący MRN powiada półzartem: —

Wyłom w zwartym froncie „bógoczyznianych” nastrojów uczyniła błękitna Odra, kiedy zagroziła wylewem. Znaczna część inteligencji wyszła wówczas przed miasto, wzięła się do łopat. Roboty nad Odrą, akcja odgruzowywania miasteczka, były to pierwsze wspólne zebrania inteligencji z rosnącą w siłę klasą robotniczą — bo wraz z „Trzyłanką” ruszyły do pracy wszystkie zakłady przemysłowe w Brzegu — odbudowali je nowi mieszkańcy miasta. Powstał patriotyczny nastrój wokół miasteczka i jego potrzeb, ton w mieście już



zdecydowanie zaczęli nadawać nowi mieszkańcy — klasa robotnicza, a znaczna część inteligencji, głównie ludowego pochodzenia, oddzieliła się od burżuazji, znalazła twórcze zadania społeczne. I to był sukces polityki, prowadzonej przez czynniki partyjne miasteczka.

*

Miasteczko liczy 15 tysięcy mieszkańców, a Miejska Biblioteka Publiczna „szczyzi się” za ledwie 700 czytelnikami. Dlaczego? Bo przykładowe księgozbiory stanowią dla Biblioteki poważną konkurencję. Tędy, przez odbudowane fabryki przepływał główny nurt przemian kulturalnych.

Przejrzałem w Publicznej prawie wszystkie katalogi, przewertowałem 8 tys. książkowych pozycji. Włosy podnoszą się na głowie. Obok najwybitniejszych pereł światowej literatury księgozbiór miejski wciąż jeszcze roi się od przylgów Sherlocka Holmesa i Arsena Lupina, znalazłem żywoty świętych, szmiry w rodzaju „Hrabia wraca na ring” Lucjana Cary. Są to pozostałości po dawnej, prywatnej bibliotece z czasów, kiedy Mikołajczyk przy pomocy adwokatów i sklepikarzy ze „stronnicia dla wszystkich” usiłował rozbroić rewolucyjne na-

stroje podstawowej masy mieszkańców Brzegu. I ta szmira odsuwa młodych robotników, ludową część inteligencji od Publicznej Biblioteki. Ale... jedna tylko Biblioteka Domu Kultury Nadodrzańskich Zakładów Garbarskich (4 tys. starannie dobranych tomów) skupia na stałe 600 czytelników, przeważnie robotniczych.

*

Jakiś czas idziemy razem. Droga prowadzi do Złobiny, gdzie mieszka robotnica Genowefa Hucula. Ta bardzo pogodna, wesoła dziewczyna mówi przekonanie:

— Co mnie obchodzi ojcowe 6 ha, kiedy w fabryce mam tysiąc złotych za swoje 180 procent normy i życie, przede wszystkim życie inne, bogatsze niż w zamkniętej rodzinie chłopskiej.

Genowefa odchodzi, ginie za łagodnym wzgórzem, widać ją jeszcze jakiś czas w dolinie, macha stamtąd przyjaźnie dłońką ku nam.

— To najlepsza chyba aktywistka z ZMP — mówi Eleonora Neuhoft. Jest coś wzruszającego w jej opowieści o koleżance. Genowefa kocha bardzo rodziców i dlatego właśnie pierwsza zaczęła ich agitować za spółdzielczą gospodarką, ona też była pierwszym ordonownikiem związaną się zespołu fabrycznego z powiatem w ramach ruchu łączności. Fragmenty „Cichego Donu”, gdzie występowały obie, uczyniły na chłopach wielkie wrażenie. Rodzice Genowefy byli nie tylko dumni z córki, pierwsi wstąpili do Komitetu Założycielskiego.

Zegnam mnie i Eleonora. Jeszcze tylko pokazała mi swoją rodzinną słąską wieś — Groszowice, leżące tuż nad błękitną Odrą, w oddali Odra.

*

Zmierzch. Idę wolno w stronę Rataj, niewielkiej wioski oddległej o jakieś 2 — 3 km od Brzegu. We wsi ruch, pełno ludzi na ulicach.

— I miał ci takiego gołąbka, wszystko co chciał, to ten gołąbek zrobił na złość kapitalistom...

— Domyśliłem się, że chłopci komentują oglądanie przed chwilą włoski film „Cud w Mediolanie”.

— I pojechali na księżyc, bo tam lepiej niż na ziemi.

— Toś nie nie zrozumiał. Przecież ten jak tam, no ten co film zmagistrował, chciał powiedzieć, że kapitaliści myślą dać ludziom pracy miejsce na księżycu, bo się ich na ziemi boją. Zobaczysz, co komuniści powiedzą we Włoszech podczas wyborów... Zobaczysz!

Tadeusz Śliwiński

HENRYK WORCELL

Rys. Stefan Szmidt

W „REPUBLICE DZIEWANOWSKIEJ”

(Dzieje III etapu Konkursu Czytelniczego, opisane wiernie w gromadzie Zdarzycy Dolne - część czwarta)

W STYCZNIU i lutym mieliśmy w Powiatowym Zarządzie ZSCh dwie odprawy zespołów. Jak się okazało, Borek - Zdrój i mała spółdzielnia produkcyjna, Bukowiec, dzielnie współzawodniczą z Zdarzycami Dolnymi. Dla kol. Balickiej i w ogóle dla powiatu, był to powód do radości i, rzecz jasna, ja też powinienem się być cieszyć, ale postanowiłem podciągnąć moje zagracione zespoły.

Nie wszędzie konkurs rozwijał się pomyślnie. W Zdarzycach Górnych np. z końcem stycznia lista uczestników jeszcze nie była gotowa — trzeba było zbadać, co się tam dzieje. Poszedłem wprost do nauczycielki Jasieńskiej, bo ona miała tam prowadzić konkurs. Staruska chora na tarczycę, sucha, kościśta, o usposobieniu gniewliwym, ale żywotna i dająca się lubić, wyjaśniła mi, że dopiero przed trzema dniami otrzymała książki konkursowe z Biblioteki Gminnej w Żelaznej Wodzie. Wprawdzie dawno je wybrała, ale nikt nie chciał przywieźć — ani sołtys Pietrycki, ani prezes ZSCh Modliński ani leśniczy Gradek, chociaż często w gminie bywali.

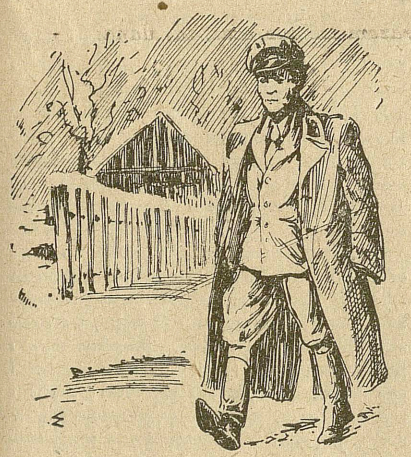
— Widzi pan, i to się nazywa aktyw gromadzki — sierdziła się kierowniczką szkoły — sama muszę chodzić od domu do domu, a ja chyba mam dość roboty z czterema klasami. Lenistwo? Nie, oni u mnie nie utrudniają. Podobno Modliński miał powiedzieć, że nie trzeba nam żadnego konkursu. No, ten przynajmniej sprawę jasno postawił, ale sołtys Pietrycki... Tak, on był jeszcze możliwy przed trzema - czterema laty, ale od czasu jak zaczął porastać w futerka, to już nie przystępuje.

— Więc jakże, da sobie pani radę z tym konkursem?

— Muszę. Liczę na jakie trzydzieści wypowiedzi. Ludzie chcą czytać, tylko trzeba do nich podejść. Tu już robotnicy leśni, bracia Lasone i Bednarczyk, obiecali mi pomóc.

— To świetnie, będę mógł Balicką telefonicznie uspokoić.

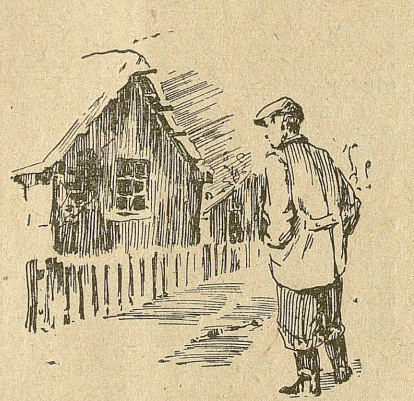
Idąc przez wieś, spotkałem leśniczego Gradka, który do dziś dnia uchodził za aktywistę. Młody człowiek, zdolny, obrotowy, ale... Ach, te oficerki, te pumpy, ta fryzura i la kakadu! Jest w nim coś gogusiowatego, przypomina wystawianego



oficerka sanacyjnego. Znamy jest ze swych skłonności do łagodzenia konfliktów klasowych, jakie w gromadzie wybuchają. Jako partyjny zdaje sobie sprawę, że takie łagodzenie i kłajstrowanie wcale nie jest po linii partyjnej, toteż w wy-

padkach małej wagi chętnie do krytyki dopuszcza i sam krytykuje, natomiast gdy chodzi o sprawy poważne, których ujawnienie może doprowadzić do zmian personalnych wśród „aktywu”, wtedy Gradek cały swój spryt wysila, by sprawę zatuzować, przy czym postuluje się argumentem: „każdy z nas ma coś na sumieniu”. Znana to piosenka w Zdarzycach Górnych, śpiewa ją i prezes ZSCh Modliński, usłyszałem ją też w parę tygodni później z ust sołtysa Pietryckiego, kiedy ten wzbudzony, niemal roztrzęsiony, zjawiał się u mnie w domu. Ale o tym później.

Z Gradkiem nie rozmawiałem, wymieniliśmy tylko zdawkowe: „Cześć”. „Cześć”. Wracając do domu wstąpiłem do jednego z robotników leśnych, Mitregi. Jest to młody, 34-letni Zabuzanin, dawny robotnik tartaczny. Chociaż nie podlegał mojej gromadzie, wciągnąłem go do zespołu konkursowego. Rzecz zabawna, ten rozumny, młody chłop w ogóle nie lubi czytać, a jeśli się go do tego zmusza, to już woli książki naukowe od powieści. Dalem mu Stalina „O Wielkiej Wojnie Narodowej” i Lysenki „O sytuacji w biologii” — byłem ciekaw, co mi o tych książkach powie, a prócz tego chciałem się dowiedzieć, jak stoja jego sprawy go-



spodarze. A były dosyć zagałowane. Mitrega od dłuższego czasu chorował na wrzód żołądka i żyjąc na diecie nie mógł już pracować w lesie ani obrabiać swego 3-hektarowego gospodarstwa, które jako zdemobilizowany żołnierz objął w 1947 r. Już wówczas budynek gospodarski był w stanie opłakany, a teraz rozlaża się zupełnie, grożąc zawaleniem. W lecie ub. roku Mitrega wniósł do PRN podanie o zrzeczenie się gospodarstwa, powołując się na zły stan zdrowia i walący się dom. Był pewny, że wkrótce przyjedzie jakaś komisja, stwierdzi faktyczny stan rzeczy i przeznaczy dom na rozbiorę, ale stało się inaczej. Powtórzyła się historia podobna do tej z Borutą i sołtysiem Grubym w Zdarzycach Dolnych. Wiosną ub. roku Mitrega wspomnieli Pietryckiemu „a zebraniu, że za wiele ziemi dzierżawi i że do tych dzierżaw większe prawa mają robotnicy leśni — bracia Lasone, Bednarczyk, Bryja. Prócz tego, ale już nieoficjalnie, poza zebraniem, za bardzo się interesował ciemnymi sprawami niejakiego Topolskiego, przyjaciela sołtysa, tego krajana z powiatu sieradzkiego. Przeciwnie Mitredze podniesiono krzyk, że to „ntak co kala własne gniazdo”, że rozi zamęt we wsi, a co do jego pedania o zrzeczenie się gospodarstwa, to już tam Pietrycki i Modliński wiedzieli, co szepnąć na ucho przewodniącemu GRN. Listopad Mitrega spędził w

Krynicy, w sanatorium „Lwigród”, w domu przez ten czas gospodarowała żona z 12-letnią córką. Gdy wrócił z sanatorium, zaczął znów jeździć do powiatu w swojej sprawie i ciągle bezskutecznie. A dom jego rzeczywiście był w stanie opłakany. Rodzina gnieździła się w izbie kuchennej o wzdętych i popękanych suficie, z nasiąkłymi wilgocią ścianami.

— Ja już sam nie wiem — rzekł do mnie, gdyśmy się przywitali — czy się śmiać z tego wszystkiego, czy kłąć. Przecież tu już nie można mieszkać.

— A z komisji sanitarnej był ktoś?

— Był Olejnik, obejrzał, napisał meldunek do Powiatowej Rady i znowu nic. Wszystko Pietrycki robi, on w powiecie gada, że ja dom zdemastowałem i że będę za to odpowiadał. Dobrze, będę odpowiadał, ale niech przyjedzie komisja i niech zobaczy za co ja mam odpowiadać? Napisałem do województwa, ale wiesz jak to idzie: województwo prześle pismo do powiatu, powiat do Szyszki, Szyszka do Pietryckiego — i tak można w kółko, bez końca. Czemuż to u was Cistakowa zrzekła się gospodarstwa i przeszła na inne, Justek też oddał trzy hektary a wziął je w dzierżawę, Kajmer i Maciś tak samo. Ale idź i próbuj ich ruszyć, to na wszystko znajdą wytłumaczenie.

Nagle zaśmiał się jakoś dziwnie, niechichotliwie i usiadł przy stole. — Wiesz, co ja nieraz myślę? Mvślę sobie tak: co by to było, gdyby nasz powiat był taką osobną republiką, wiesz taką „Republiką Dziewanowską”. No, jak ty myślisz, co by się wtedy stało?

Nim znalazłem odpowiedź, Mitrega już mnie uprzedził. — O! co by było, to samo co w Rosji w siedemnastym, osiemnastym roku — rewolucja!

Wstał z krzesła i zamasyżył przeszedł się po izbie.

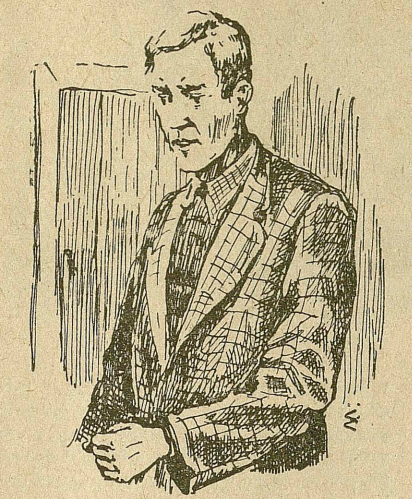
— Kurdebalans, jabym sam zebrał robotników leśnych i dawał! Na Pietryckiego — Modlińskiego! — Nagle spoważniał, coś pomyślał. — No nie, to takie gadanie... Ale faktycznie jakoś nie wszystko tak idzie jak trzeba. Nasz powiat staje się socjalistyczny i spółdzielniczy i POM i tak dalej, i ludzie już poszli bardzo naprzód, ale do władzy terenowej... ja wiem? Dopchali się tacy jacyś trockiści i szkoda w aparacie, a my nic. Tak nie powinno być.

Jak się w kilka tygodni później okazało, Mitrega nie miał racji, siły reakcyjne w powiecie nie były aż tak wielkie, by mogły wywierać jakiś decydujący wpływ na rady narodowe, ich szkodliwa działalność była natury kreciej, ograniczała się do dywersji utajonej i została w końcu przez miejscowe dziewanowskie władze unieszkodliwiona.

Wypowiedź Mitregi powtarzam jednak jako również niepokojący objaw dla niedawno minionego okresu „Republiki Dziewanowskiej”. Ostatecznie Mitrega, kiedy się wysapał i wygadał z anarchizujących fantazji, całkiem do rzeczy wysunął pomysł artykułu do gazety.

— Bo tu, na zebraniach, nie dać dojść do głosu. Spróbuję coś ruszyć, to mnie zaraz Modliński, albo Gradek stłumią: „kiedyś indziej, kiedy indziej będziecie gadać! Teraz mamy ważniejsze sprawy, po-

datek, skup zboża i tak dalej, nie róbcie zamieszania, bo was wyprosimy. Co wy, chcecie zebranie rozbić, reakcyjną robotę robicie? Wiedziecie, co was za to czeka? No i gadaj z nimi! Ludzie słuchają i tracą pojęcie o co idzie i kto ma słuszość. Ale jakby tak wszystko opi-



sać w gazecie, to by już tego nie mogli zafarbować. A tu jest o co zabaczyć, wystarczyłaby sprawa Topolskiego.

Kto to jest Topolski? Wiadomo mi, że miał gospodarstwo w powiecie namysławskim i był skazanym na trzy lata więzienia za posiadanie broni palnej, ale amnestia zwolniła go po odbyciu półtorarocznej kary. Drugie gospodarstwo miał pod Jelenią i stamtąd właśnie, ściągnięty przez swego krajana, Pietryckiego, przybył do Zdarzyc Górnych. Co go łączyło z Pietryckim? Czy tylko dawne sąsiedztwo w powiecie? Ejże! Tu, w Zdarzycach Górnych, miał już przygotowane gospodarstwo po niejakim Niteckim, osiadł na nim, wyszabrował co się dało, sprzedał płony oraz dwie krowy i konia, które mu Pietrycki za wiedzą GRN i przewodniczącego Szyszki przydzielił. Awanturnik, aferzysta, pijak, stracił wszystko i wtedy znów Pietrycki pośpieszył z pomocą, przydzielił mu drugie gospodarstwo, po Futku, z koniem i krową. Ale i tu Topolski konia sprzedał, siano na pniu także, a za uzyskaną przy pomocy prezesa ZSCh Modlińskiego pożyczkę w wysokości 2.500 zł, kupił sobie motocykl. Ponieważ jednak bez konia trudno gospodarować, Pietrycki w porozumieniu z Szyszką przydzielił mu licencjonowaną ogierę, który miał obsługiwać kłaczę całej gminy, a którym Topolski obrabiał pole nie tylko swoje ale i Pietryckiego. To są fakty, na których można się oprzeć i które można rościć do prasy.

— I co jeszcze, obywatelu Mitregu?

Sprawa domu ludowego. Duży, piękny dom o 24 ubikacjach zupełnie niszczący, bo dach dziurawy, a ob. Musiatek, który tam mieszka z rodziną, wszystkie garnki i wanieliki podstawił na deszcz. A dachówka była. Właśnie przy domu ludowym leżało 16.000 dachówek. Pietrycki, Modliński i Gradek sprzedali ją, pieniądze nie wiadomo na co poszły. A sprawa ukrytych dzierżaw Pietryckiego? A 42 modrzewie, które sobie wyrąbał na skraju lasu?!

— Mało ci tego? Pisz do „Chłopskiej Drogi”, niech wam pomogą zrobić porządek w tej twojej „Republice Dziewanowskiej”.

— A żebyś wiedział, że tak zro-

bię! Pójdę do Bednarczyka i Lasone, oni też się podpiszą. I Musiałek i Bryja...

— Od tego bracie, należało zaczynać. Tyś o Partii i Rządzie Ludowym zapomnieli i od rebelii w „republice” powiatowej chciałeś zaczynać?... A o „Biologii” czytałeś? Aha — przypomniałem sobie — czytałeś książki, co ci dałem?

— Czytałem i to mnie dziwi, że w roku 1947, to znaczy w trzydziści lat po rewolucji, byli w Związku Radzieckim profesorzy reakcyjni. Tu ciągle się wspomina o jakimś Malinowskim i Dubininie. I pomyśl, uczyli w akademiach, pisali książki, a przecież reakcyjniści. Ty mnie od warcholów i jak tam — anarchistów — wyzywasz. A mnie po tej książce czuiność się zaostrzyła rewolucyjna i upór walki. Bo ja rozumiem z tej książki, że póki jeszcze ten kapitalizm w świecie, wciąż my musimy ostro pilnować i walczyć. Patrz, gdzie to się wróg nie próbuje wkręcić, co ty na to?

— Co ja na to? Tu z Pietryckim i Szyszką łatwo jeszcze odróżnić, co czarne a co białe, to nie żadna filozofia. A tam... Przecież to nauki ścisłe, najtęższe głowy całymi latami pracują, specjalizują się, robią doświadczenia w laboratoriach. Nad nimi nie ma takich specjalistów, którzy by mogli rozstrzygnąć na poczekaniu kto ma rację: morganistów, którzy udają, że nimi nie są, czy Lysenko. A przecież i tam rozstrzygnięto życie, nieodparte potrzeby rozwoju społeczeństwa. Wsluchując się w milionowy głos praktyków — Partia zdemaskowała wro-

ga i zapewniła zwycięstwo przodującej nauce Lysenki.

Naraz otwarły się drzwi, bez pukania wszedł, a raczej wpadł, Bednarczyk.

— Serwus. Jak się macie!

Ten to już zawsze tak. Żwawy, wesoly, tryskający zdrowiem, liczy sobie trzydzieści parę lat a wygląda na dwadzieścia pięć. Żywiołowy i na pozór lekkomyślny,



kiedy sobie podpieje chwytą człowieka w objęcia i zamiast pocałować, ugryzie w policzek albo brode.

— Dobrze, żeś przyszedł — przywitał go Mitrega — bo my tu właśnie o Pietryckim i tak dalej... Wiesz, pismo do „Chłopskiej Drogi” wysłamy. Podożysz?

— Dawajcie, bo mnie już cholera bierze na tych...

Nie przedko tego dnia wróciłem do domu, przesiedziałem u Mitregi kilka godzin nad zredagowaniem listu.

(D. c. n.)

Henryk Worcell

JERZY MILLER

W drodze na wieczór autorski

Zimowa noc i droga śnieżna.

Wiatr mroźny dmie. Wokoło pustka. Waham się: — iść, czy nie iść przez las, gdzie mnie zagnało od Pułtuska.

Za mną przyjaźne światła dworca, przede mną — nie żyć nikomu, trzeszczących drzew ponury orszak skłębia się w mroczną niewiadomą.

Przeciągły skowyt, psia modlitwa, tęsknota do ojczyzny wilczej rozczyna ciszę jakby brzytwą i wszystkim nakazuje milczeć.

Księżyc się wspina ponad las, kryształki śniegu błyszcza. Rękawem płaszcz chronię twarz i idę... z niespokojną myślą.

Eh! Wyłknięte serce skuczy jakby je mroź popędał ostrzy. A może by tak lepiej wrócić z nieuczęszczanej gluchej wiorsty?

Lodowe igły ranią czoło, wiatry emalię śniegu tłuką. — Czyżbym miał poddać się żywiołom, aby się śmiały do rozpuku?

Nie takich scen był las teatrem, las pełen rzeczywistych mogił. I pomyślałem, walcząc z wiatrem, o tych, co nie wrócili z drogi.

I wtedy w środku martwej głuszy poprzez strach własny jak w ośnieniu pojąłem całą głębię duszy cudzą odważyć — tych z terenu!

...Niedoczekanie wasze, wietrze, skowity psie, pustkowia, zimo, leśny bezdrożny kilometr — nie przejdę mimo!

RYSZARD PSZCZÓŁKOWSKI

FILM O „PAMIĄTCE Z CELULOZY”

ROBOTNICZY Włocławek przeżywa od kilku tygodni drugie interesujące spotkanie z „Pamiętką z Celulozy” Neverlyego.

Pojawiły się we Włocławku zielone wozy „Filmu Polskiego”, gromadząc na postojach tłumy ciekawskich.

— „Widziałeś filmowców? Ten szczupły — to Szczesny, a ten starszy opalony — to jego ojciec...”

„Nazwiska bohaterów filmu (tak, teraz już filmu) — Nowaga, aktorzy roli Szczesnogo czy Miskiego, który gra rolę starego Bidy nie znikają z rozmów mieszkańców Włocławka.

Jest piękne czerwcowe popołudnie. Bury pióropusz dymu bije prosto w błękitne niebo z kominów Celulozy, z tych kominów, na których tyle razy przed wojną 1 Maja zakwitał czerwony sztandar, spędzający sen z powiek Wajszycom i innym szlugsom sanacyjnym. Wąską ulicą Łęską pomknęło kilka zielonych wozów „Filmu Polskiego”. Kierunek — Celuloza. Zanim jednak wysiedli z nich aktorzy, zanim wytaszczyli z czeluści wozów kufry z rekwizytami i skrzynię z aparaturą, chodnikami, ba nawet jedniadzą, zagęścili się różnorodnym tłumem. Statysty? Nie! To czytelnicy „Pamiętki”.

A jest na co patrzeć. Oto jeszcze wczoraj stała wieża na dziedzińcu stała sobie brama przystrojona w hasła głoszące o współzawodnictwie pracy, o Planie 6-letnim, a dzisiaj zawisł nad nią nienawistny szczyt, przypominający minione a przecież jakże niedawne czasy. „Fabryka Celulozy we Włocławku

— Steinhagen & Saenger”. A tuż za plotem „łaczka bezrobotnych”, na której przez długie dni, ba, nawet miesiące wyczekiwali nadaremnie na pracę włocławscy robotnicy. Siedzą oni co prawda i teraz na skrajach, zielonej murawie, ale już jako... statysty. Cmią papierosy, dowiekują, opowiadają wrażenia z dzisiejszego dnia pracy, czekając cierpliwie na znak reżysera, który chodzi tam i z powrotem, ustawia aktorów, pokazuje coś na miłę, macha rękami.

Naraz przed nosem operatora wyrasta człowiek z czarną tabliczką. To tzw. „Kłaps”, na którym odnotowuje się białą kredą numer zdjęcia. Uwaga, zaczynamy!... Z głębi ulicy nadchodzi dwóch ludzi. Jeden stary, z sumiastymi włosami z siekiera w jednej i z węzełkiem w drugiej — to ojciec Szczesnogo. Drugi młody, gapiowaty chłopak z rozwichrzoną czupryną, z wysłużonym plecakiem przerzuconym przez ramię, „To Szczesny” — szepce ktoś w tłumie. Przybysze podchodzą nieśmiało do bramy. Stop! Koniec! — wybiła im przed nosem „Kłaps”. Powtórzenie. Ktoś pakuje biednemu Szczesnemu do starego plecaka dwie cegły, które przyćiskają chłopaka do ziemi. Wybrali się przecież do „Ameryki” (jak nazywano wtedy Celulozę) przyszli więc niemal z całym dobytkiem, a zresztą mają za sobą z Rzekucia ładnych kilkanaście kilometrów drogi, powinni się więc trochę przygarbić. Trafra, chociaż niesłyszane przez aktorów i kierownika zdjęć uwagi widzów odpowiadają widocznemu prawdziwie, skoro operator powtarza zdjęcia. Znowu za chwilę klasnęła deszczka „kłaps” i... krótki od początku.

Tym razem idzie już lepiej. Przybysze stają niepewnie, przystają co krok, jak to ludzie z tamtych czasów, pełni niepokoju i obawy co im przyniesie spotkanie z tą „Ameryką”.

Koniec, myślę z ulgą. Ale gdzie tam. Szczesny powinien spojrzeć jeszcze na dymiące kminy fabryki, pierwszy je bowiem raz widzi z bliska. Jak dla wiejskiego chłopaka, jest chyba na co popatrzeć.

Znowu syczy leciutko aparat. Znowu „kłaps” wybiła suchy takt. Na twarzach aktorów widać kropkę potu. Ciężki ich zawód. „Eh, mnie by tam już dawno szlag trafił, gdyby mi tak kazali ciągle na wracać!” — wykrzykuje obok mnie jakiś zniecierpliwiony robotnik.

Patrzę na zegarek. Upłynęło już wiele, wiele minut.

Ponieważ jednak pogoda dopisuje, filmowcy krecą dalej.

Teraz operator wsuwa tubę aparatu w szparę sztachet, za którymi leżą, gwarzą i czekają na łączce bezrobotni. Jeszcze raz, jeszcze dwa razy obiektyw aparatu filmowego wędruje pomiędzy sztachetami, by za chwilę przenieść się na postać Szczesnogo, który skradła się po ciachu w stronę plotu, dotyka rękami sztachet i zagłada zaciekawionym wzrokiem na podwórzu. Odwraca się na chwilę w stronę ojca, kiwa głową lekko głową. Słysz. B. da podchodzi ostrożnie do syna. Koniec ujęcia.

Ale historia powtarza się za chwilę od początku. Raz, dwa, dziesiąte razy. Po godzinie operator wreszcie zadowolony. Krótki znak ręką, „Bezrobotni” z „łaczki” podnoszą się, rozprostowują kości i wędrują do domu.

Cichnie ulica, zebrany tłum wi-

dów wsiąka powoli w boczne uliczki, wraca do domów. Ten i ów zerka na zegarek, przypieszczając krak, moment bowiem, który na filmie trwać będzie kilkadziesiąt sekund zajął im tylko na samo przyglądanie dobre dwie godziny czasu. A scen takich w filmie jest kilkadziesiąt.



Rys. B. Butenko

Przez chwilę stoję wpatrzony w srebrny napis rzucony na siatkę szyldu nad bramą: „Fabryka Celulozy we Włocławku — Steinhagen & Saenger”. Nadjeżdża samochód z belami celulozy do papieru. Na drzwiczkach wozu miga napis: „Zakłady Celulozowo - Papiernicze im. J. Marchlewskiego we Włocławku”. Z szoferki wychyla się uśmiechnięta twarz kierowcy, jednego z takich, którzy nie znają już co to „łaczka bezrobotnych”, którzy nie znają niedawnej gorzkiej rzeczywistości, jaka już nie wróci...

Na ratuszu strażackim na Żabiej, srodek którego w tamte, zle dni wyszli rozbijać robotnicze barykady na Królewieckiej granatowi „chłop-

cy Sławoja” z Gołędzinowa, bije 22.30.

Trzy szpule z taśmą nakreconą rano wędrują do kabiny operatora. Na ekranie ukazują się jakże znajome nam włocławskim konatury Celulozy. Za chwilę obiektyw przenosi się na plac drzewny. Rażno leżą wióry spod osników strugaczy, piętrzą się reje obalków. Ktoś przechodzi przed obiektywem z wiązka wiórów na plecach.

Oczekuję, że za chwilę ukaże się następna scena, ale gdzie tam... Znowu pojawia się plac drzewny, strugacze przy obalkach, reje, z drzewem i „kłaps”, tym razem z numerem 174a. A za chwilę... znowu ten sam obraz tylko z numerem 174 b i jeszcze raz, jeszcze kilka razy.

Wreszcie nowa scena, kiedy stary oszust, majster Sumczak, wiedzie za sobą starego Bida i innych robotników, którzy za ciężkie złotówki wkuwili się w łaski bezlitosnego wyżyskiwacza.

Sumczak, opasły mężczyzna, kołysz się na krótkich nogach i gestykuluje żywo... Nieublagany „kłaps” (tym razem z numerem 175) przerywa jego pochód. Z za rejuw z obalkami znowu wynurza się... Sumczak z robotnikami. Tym razem gestykuluje jeszcze żywiej, pokazuje ręką na piętrzące się „sztaple” by za chwilę, może już po raz 10-ty a może i 15-ty, rozpocząć swoją wędrówkę po placu.

Na końcu pochodu dostrzegam gapiącego się chłopaka z rozwichrzoną czupryną. Poznaję go — to Szczesny.

Dochodzi północ. Tak więc prace półtoro-godzinne trwa już projekcja tych kilku scen, które na filmie zajmą kilkadziesiąt sekund.

Zapala się światło. Ale nikt nie rusza się z miejsca. Teraz z głośnika dobiegają białe słowa jakieś zawiadzonego w uczuciowości Sumczaka strugacza, skierowane do

starego łotra: „Panie Sumczak, kiedy pan odda te dziesięć złotych...” i ginąca wśród rechotu złodzieja odpowiedź: „W poniedziałek, po pie, wsum... ale nie w ten poniedziałek, w tamten... do deszczu...”

Kiedy słyszę wzburzone słowa i okrzyki robotników: „Za bramę ich, na wózki i do Wisły!” — domyślam się, że to stare „siekiery” robią wyrzuty „młodym”, że zgodzili się pracować po zniżonej stawce i wskutek ich konkurencji wyżyskiwacz Pandera dziś lub jutro obniży również stawkę starym kwalifikowanym robotnikom.

A teraz głos żalony starego Bidy: „Ludzie, nikogo nie skrzywdziłem, każdemu schodziłem z drogi, biedowałem całe życie a teraz już nie mogę... zabijcie mnie ludzie. Zróbcie do swej woli, ale nie mogę... a na to pełne spokoju i powagi słowa starego komunisty Marusika: „Uspokójcie się — nie po tośmy tu przyszli. Towarzysze, proszę o spokój Musin! tę sprawę przekazać związkow...”

Zegar na ratuszu wybił godzinę 1 w nocy. Na ulicach pustok. Kroki moje głucho dudnią po chodniku ulicy Królewieckiej, na której w latach terroru sanacyjnego wzniosła barykady do walki z wrogiem włocławską klasa robotnicza. Dzisiaj ulica ta nosi dumną nazwę ulicy Obrońców Stalingradu. Okna mojego mieszkania wychodzą na Fabrykę Celulozy. Wpatruję się w czerwone lampy widać na szczytach kominów, w jarzacie światła okna hal fabrycznych gdzie pracują ludzie twardzi i mocni, wytrwali i dzielni — jak Szczesny...

Mimo późnej pory no raz drugi zaczynam czytać „Pamiętkę z Celulozy”...

Ryszard Pszczółkowski

BOGDAN WOJDOWSKI

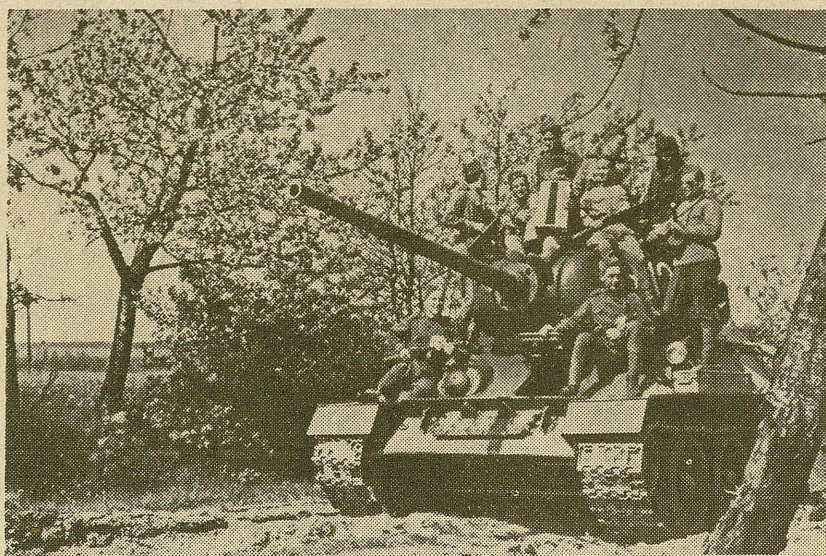
Z ZIEMI RADZIECKIEJ DO POLSKI

KSIĄŻKA Janiny Broniewskiej „Z notatnika korespondenta wojennego” wprowadza nas w dni wojny narodowej z faszyzmem, w atmosferę zapamiętanych „wschodniego frontu”, jedyne antyfaszystowskie frontu w Europie czasów drugiej wojny światowej. W wielkich skrótach oglądamy wojny Kujbyszew i wojenną Moskwę, rzucony daleko w stępy sowchoz imienia Czapajewa i obóz pierwszej dywizji w Siedluchach nad Oka. Wraz z Broniewską towarzyszymy „bieżącym” w tragicznych dniach odwrotu, jesteśmy świadkami ofiarnej pracy ludzi radzieckich zaplecza zjednoczonych we wspólnym gigantycznym wysiłku, określonym skrótnym hasłem, które weszło już do historii ludzkości: „wszystko dla frontu”. Śledzimy w ślad za przesuwanymi się chorągiewkami na mapach i wieściami frontowych komunikatów rosnące obszary wolności, obszary szlaku wyzwolenczego Czerwonej Armii. Ktoż z nas wówczas nie czekał tych wieści! Cała Europa z przytępieniem oddechów chciała wyzyskać wydarzenia ze Wschodu. Broniewska znalazła je wcześniej od nas. I trudno oprzeć się chęci zacytowania tego fragmentu z jej książki, kiedy po słowach spikera Lewlana: „Gawarik! Maskwa! Budiet! pieredano! ważne! saabszczienie...” autorka wybiega na miasto i dzwoni do Heleny Usiewicz. Działo się to nocą 11 listopada 1942 roku. „Czarne, wygaszone miasto huca. Gdzieś tam nawołują się ludzie, skrzypią bramy w domach. Przebiegamy jeźdźcą i wpadamy na nocnego dozorcę w budynku naszej redakcji. Ścisłamy się jak krewini po długiej rozłące, łapiemy klucze od drzwi wejściowych. Korytarz, trzask wyłącznika, jeszcze jedno drzwi, już biurko Alfreda z telefonem. — Heleno! Heleno! Z drugiej strony słuchawki zapanował głos: — Co się stało? Głasia? Zwirowałaś? — Włacz głosić! Włacz głosić! Wielkie szczęście! Lewitan powtórzy jeszcze raz! Trzy dni wcześniej ruszyła ofensywa radziecka pod Stalingradem.

W książce Broniewskiej mamy możliwość zaobserwowania, jak indywidualny ludzki los wylesiony na głównym nurcie historycznego rozwoju staje się soczewką społecznego wydarzenia i jak uczestnictwo w nich pozwoliło pisarce stworzyć bez literackiej „szminki” nie tylko dokument literacki naszego czasu, ale i dzieło literackie — wykładnik artystyczny naszego czasu. Sekret polega na tym, że Broniewska potrafiła w „Notatniku korespondenta wojennego” połączyć autentyczność w ramach typowości.

Z kart „Notatnika” patrzy na nas przede wszystkim twarz działacza, człowieka w pełni świadomego swej czynnej współodpowiedzialności za dokonujące się wydarzenia. Jesteśmy w kregu redakcji „Nowych widnokregów”, kolejno przesuwając się przed nami Alfred Lampe, Wanda Wasilewska, Stefan Jędruchowski, towarzyszymy szerokiej pracy organizacyjnej podjętej przez komunistów polskich w Związku Radzieckim, pierwszym zjazdom Związku Patriotów Polskich, założeniu pisma ZPP — „Wolnej Polski”, wysiłkom uwięzionym sformowaniem I dywizji wojska polskiego im. Tadeusza Kościuszki.

Broniewska chętnie włącza do swych notatek fragment artykułu Lampego, przemówienie Wasilewskiej, list terenowego korespondenta gazety, czy wreszcie komunikat radiowy lub dyplomatyczną notę. To wszystko żywe dokumenty naszego czasu, świadectwa autentyczności dziennika Broniewskiej, podkreślające niejako jego historyczny charakter.



Temperament publicysty, skróty techniki dziennikarskiej podjęte przez autora najlepsze strony notafnika. Podróż do korpusu Andersa na reportaż czy wywiad z niesławnej pamięci „wodzem”, to lapidarne szkice, gdzie w groteskowych ramach zastygli ci wszyscy, którzy „przez Indie szli do Grójca”. Małość i nikczemność w powiązaniu ze zdradziecką rolą polityczną, jaką odegrali ci londyńscy „ambasadorzy”, ukazała Broniewska w migawkowych, lecz niezapomnianych scenach. Czy to wówczas, gdy uchwyciła sztab korpusu z jego atmosferą wielmożstwa i legionowego porządku, czy to wówczas, gdy obnoszonego cierpienia i ciągłego

utyskiwania. Czy wówczas, gdy chwycił jak fotograf w świetle magnety Andersa, który puszczając w studiowanej pozie kółka dymu recytuje wyczoną sentencję: „Polacy mają wiele wad, ale Polacy nie zdradzają”. Czy wówczas kiedy z całej rozmowy utrwała jedno jedyną pytanie, jakie jej i Helenie Usiewicz zadał w stołowie „wiesz, emigracyjny” i agent w masce kapturka. Parnicki: „Czy komunistka może się zakochać w faszyście”? Czy w tym nieśmiertelnym obrazie Szczyrka i „ludowców” rozprawiających w Kujbyszewie w roku 1942 o reformie agrarnej „z wykupem”.

Ale partie satyry to zaledwie

TEOFIL KOWALCZYK

ROZKAZ

Czy patrolujesz drogi pogranicza, czy nie śpisz pełnią wartę w jednostce służbowej, czy jesteś ze wsi, czy z miasta Kalisza, z Łodzi, z Rzeszowa, czy z samej Warszawy,

czy zostawiłeś w domu starą matkę, czy znowu z dzieckiem maleńkim w kółeczku, czy ojca, od którego czytasz list lub kartkę, czy też dziewczynę, z którą chodzisz nad Wisłę —

wiedz —

po ziemi, pod płótnem na niebie księżycem, pod słońcem, co ci pali twarz na śniady kolor, po drogach polnych, po gwarach ulicach chodzi wróg, szpieg, dywersant.

Jego oczy boją, że ten karabin nie z jego masą ręki, że cię strzelać uczono nie do jego celów, że śpi spokojnie twój synek maleńki gdzieś we wsi Gołczy, czy w miasteczku Wieluń, że tam w Kaliszu ludzie żyją zdrowo, że zburzona Warszawa domy dźwiga skrzętnie, że twoja matka ma dziś dach nad głową, a w każdym mieście i wsi — coraz piękniej; że nie wróci fabrykant, dziedzic, prowokator, by cię do służby zagnać na własnym podwórzu — ten wróg podpalili kraj cały za to i knuje wojnę i knuje pożogę, by dom twój urzecz rozdeptany w kurzu, a twoim bliskim dać nędrę i trwogę.

Włóż pełnią służbę tak bystro jak orzeł! Nauć się strzelać i trafiać liść w liście! Wtedy ojciec spokojnie będzie zbierał zboże i stara matka zaśnie pod gwiazdami nocy. Jak zegar niechaj chodzi motor w samolocie, a bagnet błyskiem niech oświeca oczy! Zna myśl o tobie, a dziecko szebiszłocze. Ich to rozkaz ustami dowódcy wydany idzie z tobą na służbę: „Pamiętaj kochany”.

Ze dziś broń dźwigasz własną, żeś niewolę zdeptał, żeś wolny jest wśród wolnych i wolność dasz synom, nie zapomnij! Cóż? — Dziel się jeszcze o stal karabinów wsparta jest miłość. Bo piekło grozi. Noc przeklesta. — A długa, długa droga wiodła spod Lenina.

„CO KOMU WINNA SPÓŁDZIELNIA?”

(Dokończenie ze str. 3)

Po co flanela, papa
czy gwóźdź?
W sklepie biedniaka
wspominać smutno,
Lepiej kulaka do sklepu
wpuścić!

(słychać łomotanie do drzwi)

Głos: Otworzyć, pilna poczta!
Kierownik: Panno Zosiu, klucze!
(otwierając drzwi — podaje mu kopertę)

Kierownik (z szacunkiem): To z powiatu! Patrzcie, co tu stęplili!

(z nabożeństwem rozrywa kopertę, odrzucając ją wolno czytając):
„W dniu (takim a takim) przybędzie do waszej gminnej spółdzielni specjalnie wydelegowany przez nas pracownik, który pomoże w likwidacji waszego grodu na odcinku buchalterii. Prosimy o zapoznanie wyżej wymienionego pracownika ze stanem rachunkowości” (rozklada beznadziejnie ręce).

Zosia: Wskię gardła! Straszne! (łapie się za gardło).

Zytko: Przecież to nie o paninę gardło chodzi. W tej sprawie na pewno byś z powiatu nie pisał.

Kierownik: Pan Zytko ma rację! Im chodzi pewnie o moje gardło. To zupełnie tak samo jak w tej książce pt. „Rewizor”, co ja napisał pewien rosyjski pisarz nazwiskiem Gogol. Przed kilkoma dniami pożyłem sobie tę książkę z biblioteki świetlicy. Ten Gogol to łepok... ho, ho... On w tej książce opisał jednego horodniczego. Horodniczy, to wiecie tak jak u nas soltyś, albo trochę wyżej. Ten horodniczy otrzymał zawiadomienie ściśle poufne, że do jego gromady przyjeżdża rewizor, czyli taki nasz inspektor ze szczebla powiatowego. Nie potrze-

buje wam mówić moi kochani, że horodniczy bardzo się tu wiadomością przejął. Bo kogo nie przejmują czynnik z powiatu? Kogo? Tak jakby ci coś u dentysty oddech zapierało, o tutaj w samym środku...

Zosia: No i co się z tym horodniczym stało?

Kierownik: A to jeszcze nie wiem, bom nie doczytał pierwszego aktu... Teraz to muszę szybko czytać, żeby dowiedzieć się, co było dalej!

Zosia: Zebym pan tylko zacytował...

Kierownik: O jasna Anielka! Rzekniesz mi (s'ogłada w pismo) Przecież on dzisiaj przyjeżdża. To ci heca!

(łomotanie do drzwi)

Głos: Otwierać! Sklep powinien być otwarty!

(Zosia chowa się pod ładę)

Kierownik: Może to już ten rewizor? Skaranie boskie z tym powiatem! Niech panna Zosia się nie chowa — tylko w trymiga ukryje pod ładę te wiadra i ręczniki. (coraz bardziej natarczywie łomota nie)

Zosia: Uff! To tylko pan Stach! Stach: Dzień dobry! Ależ się wyśmiałem. Ładne porządkie, żeby pod sklepem stać całą godzinę. O, co ja widzę, akordeon? (bierze do rąk). Taki akordeon przydałby się naszej świetlicy. Ile on kosztuje?

Kierownik (ze złością): Mniejsza o to, już kupiony!

Stach: Szkoła kupiła?

Kierownik: Eee, gdzie tam szkoła. Pan Balcerzyk wziął dla swego Felka.

Zosia: Wesela będą gdzie...

Zytko: Też tylko w ładne wesela.

Stach: Dlaczegoście nie zawiadomili świetlicy? Sami byśmy kupili! Zawsze przy akordeonie inaczej się

śpiewa i przedstawienia z muzyką można urządzić. A tak, to ino na grzebieniu grać.

Kierownik: A grajcie sobie, grajcie, na czyn chcecie. Mnie tam bez różnicy. Znalazłem jednego Radziwołkę spod Wielunia, ten grał znowu na butelkach. I całkiem mu dobrze szło. „k człowiek chce grać — to na wszystkim zagra”.

Stach: A z pana to też dobry gracz. Dobrze pan zagrywa swoim kumotom. Już my coś o tym wiemy...

Kierownik: Licz się chłopcze ze słowami, bo będzie źle... Już tym smarkaczom całkiem się w głowach poprzewracało. Chcieliby wszystkiemu rzadzić...

(otwierają się powoli drzwi, pierwsza spostrzega to Zosia, daje ostrzegawcze znaki kierownikowi).

Głos od drzwi: Co się tutaj dzieje? (wchodzi mężczyzna z teczką, kierownik puszcza Stacha i wybiega w lansadach na spotkanie przybysz).

Kierownik (uniżenie): Moje uszanowanie! Z kim mam przyjemność?

Rewizor: Przybywam z powiatu wydelegowany specjalnie dla uporządkowania waszej księgowości. Oto moja legitymacja...

Kierownik: Ależ po co te formalności. Witamy, witamy! Dziś właśnie otrzymałem w tej sprawie pismo.

Zosia: Pan to pewnie od tych wąskich gardel? (łapie się za gardło).

Bo jeśli chodzi o mnie, to mam gardło szerokie i nawet bardzo lubię śpiewać...

Rewizor (śmiejąc się): Tu nie chodzi wcale o pani gardło...

Wąskim gardłem nazywamy fachowo to wszystko, co hamuje nam pracę i utrudnia wykonanie planu.

jedna strona kunsztu Broniewskiej. I le wzruszającego liryzmu tkwi w przelotnych scenach spotkań z ludźmi radzieckimi, z owym nieznanym robotnikiem, który wysiadł z pociągu na każdym postoju i przynosił w swej legendarnej blaszance żupę dla dzieci „bieżących”, z przegodnym zdunem z Kujbyszewa, który w domu „trzech kątach” stawia uchodźcom „galanki” (piecyki), z kochożnicami w stepowym sowchozie Czapajewa... „Katia Baszkirowa, mała Tatarka stojąca w rozpalonym południowym stepie ze swym perkalowym darem w drobnych spracowanych rękach dała mi wtedy coś bezcennego. Czyżby nie po prostu ludzkie, proste, najszersze serce, jakby tylko zawiąnięte dla pozoru w miękki zwitek zwyczajnego perkalu?”

Kunszt portretu ujawnia sylwetka koniucha dywizyjnego, widzianego na przeprawie przez Oka. Ale coż to za koniuch, który w stepie urządził wiec! Broniewska dodaje z nieskrywaną dumą: „Koniuch - oświatowiec, czyli po prostu rodzony się już żołnierz-obywatel. I czegoż się było dręczyć szczołupia nasyż kad? Będą rosły z dnia na dzień, mozołnie, z przełamywaniem oporów, będą wyrastać ze zwykłych żołnierskich szeregów. Na nich budujemy u licha tę wielką naszą sprawę — ludowe wojsko przyszłej, Ludowej Polski!”

Broniewska jest „kronikarzem wielkich dni” nie przestając być przy tym wnikliwym obserwatorem małych epizodów. Ale coż to za epizody! Epizody wielkiego szlaku bojowego, na którym przyszło wywalczyć Polsce prawo do wolności i socjalizmu, gdzie na „najkrótszej z dróg” zeszły się losy partii i narodu. To wówczas w którejś tam kampanii artyleryjskiej Szuwałd wrócił do poezji. Julian Brun do swego bogatego dorobku publicysty dorzucił coraz wspanialsze eseje polityczne, Alfred Lampe pisał daleko wybiegające w przyszłość artykuły i po raz pierwszy w historii „wykazał prawo Polski do ziem zachodnich” (Aleksander Zawadzki). Wasilewska w natłoku pracy politycznej szykowała swą wielką epopeję powieściową. I jeśli mamy szukać, to właśnie tutaj szukać musimy źródeł odrodzenia literatury polskiej.

Jest w tym jednorazowym obrazie jakby w przenośną zawartą historyczną prawdę. Prawda naszych dni. Przenika ona książkę Broniewskiej od pierwszej strony do ostatniej. I to sprawia, że ten notatnik korespondenta wojennego przetrwał w kronikę wielkiej wojny.

Bogdan Wojdowski

* Janina Broniewska — „Z notatnika korespondenta wojennego”, cz. 1, W-wa 1953, MON, str. 316.



BARBARA TYLICKA

NASZ DOM JEST WASZYM DOMEM

„Domem odzyskanego dzieciństwa” nazwał Marian Brandys dom wojennych sierot koreańskich w Polsce. Jego reportaż z życia gototańskich domów wzruszająco grozą wojennych wspomnień dzieci i optymizmem przynajmniej, jak je odczyta polskie środowisko. Powieśnię dzieł, piękne, odruchy ludzkiego serca, powolne narastanie u dzieci zaufania i wiary w przyjaźnię uczucia białych ludzi, proces wrastania dzieci w pokojowe życie — to jeden wątek tematyczny tych reportażów.

„Jakie dziwne jest życie w tym domu. W najdrobniejszych codziennych sprawach tkwią odpryski historycznych wydarzeń” — stwierdza polska wychowawczyni. Te „odpryski historycznych wydarzeń” podane jako wojenne wspomnienia dzieci z Korei — to drugi wzruszający temat książki Brandysa.

Koreańskie dzieci grające w piłkę w „talaru” na gototańskim boisku w tych opowiadaniach okazują się bohaterami w walce o wolność Korei.

Czung-Chinowi nie pozwala jeść ani spać uparcie powracające wspomnienie strasznej śmierci rodziny. Amerykańscy agresorzy w jego oczach zamęczyli rodziców i siostrę.

Li-Wan miał niezwykle bogate przygody. Wyzwał Korea spod okupacji japońskiej jako syn jednej z dywizji Armii Radzieckiej Dalekiego Wschodu, później jako partyzant walczył z amerykańskimi zabójcami.

Li Chio-sik — jeden z dziesięciu kapitanów gototańskich „Korei” — nim przyjechał do Polski zdobył w dalekiej ojczyźnie dwa wysokie odznaczenia partyzanckie. On właśnie widział, jak po żywym ciele dzielnej Nam Sun-dzun przejeżdżał amerykański czołg...

Przeżył oni więcej, niż zdoła przeżyć dziecięce serce. Z ich wspomnień wiemy, jak tragiczne doświadczenia wojenne spłoszyły ich dzieciństwo. Wiemy, dla czego Czung-Chin nie może jeść, dlaczego tak głęboko brzmią Li-Wan słowa: „Maskwa, Maskwa stolica maja!”

Opowiadania — wspomnienia zajmują większą część książki. Uzupełniają ją charakterystyczne dzieci koreańskie. Przytaczamy obrazy walki koreańskich patriotów. Z nich dowiadujemy się o ofiarnej patriotyzmie koreańskiej Młodej Gwardii, o zadaniach bojowych organizacji pionierskiej w Korei. Autor usiłował jak najbardziej zindywiduować gromadę dzieci koreańskich. Najlepiej mu się to udało.

NAD TOMEM »PISM« MIKOŁAJA OSTROWSKIEGO

Któż z nas nie zna powieści „Jak hartowała się stal”? Któż nie pamięta wspaniałej postaci Pawła Korczagina, która stała się wzorem do naśladowania dla setek tysięcy młodych chłopców w Kraju Rad i wszędzie tam, gdzie walczy o wyzwolenie ludu?

Nie wszyscy chyba jednak znają drugą powieść Ostrowskiego „Zrodzeni z burzy”, którą pisarz poświęcił walce Armii Czerwonej przeciw pilsudczykowskiej interwencji i której pisanie przetrwała śmierć, a już na pewno niewieleu czytelników zdążyło się zapoznać z jego artykułami, przemówieniami i listami.

A warto. Warto sięgnąć po wydane przez Wyd. MON „Pisma” Mikołaja Ostrowskiego. Obejmują one oprócz obydwu powieści obszerny zbiór artykułów, przemówień i listów, a poprzedzone są ciekawym wstępem Heleny Bobinskiej.

W roku 1925 Mikołaja Ostrowskiego, czynnego, pełnego życia, żarliwego aktywistę Komsołoty, spotyka cios, który dla wielu ludzi pospolitych oznaczałby koniec wszelkiej działalności. Lecząc wtedy 21 lat przyszył pisarz zapadła skutkiem odniesionych w wojnie domowej ran na obłożną, nieuleczalną chorobę. Traci widzę w nogach, codziennie borykać się musi z ogromnym bólem, wkrótce potem śpiennie. Wydaje się, że to już kres wytrzymałości; płomienny bojownik przykuty na resztę życia do łóżka, sparaliżowany, odcięty od świata brakiem wzroku. Rzekniesz mi — w listach Ostrowskiego występują plany samobójstwa. O samobójstwie myśli też jego bohater, Pawła Korczagina. Lecz nie trwa to długo. Bojownik odnajduje swe miejsce w walczących szeregach, postanawia zostać pisarzem.

Jego spuścizna publicystyczna i listy mają dla nas między innymi tę wartość, że ukazują, jak dokonała się ta decyzja, ile nadludzkiego wprost hartu i wytrzymałości wymagała jej ułożona pełnym sukcesem realizacja.

Lecz nie tylko prawdę psychologiczną o świadomości bohatera znajdziemy w tej części „Pism”. Publicystyka Ostrowskiego stanowiła w chwili powstania i stanowi do dziś cenny oż w walce o wychowanie nowej kadry pisarzy socjalistycznych, stała się winna dla młodzieży literackiej bogatym źródłem przeżyć, zbiorom cennych wskazówek — od najbardziej zasadniczych, dotyczących pisarskiego światopoglądu, aż do drobnych, poruszających jakże ważne zagadnienia: języka, stylu, metody pracy nad sobą i nad swym dziełem, stosunku do krytyki.

W artykule „Jaki powinien być pisarz w naszym kraju” Ostrowski tak charakteryzuje zadania pisarza radzieckiego: „To przede wszystkim budowniczy socjalizmu, a nie obojętny „obserwator”. To bojownik. Bojownik, nauczyciel, trybun. Człowiek przez wielkie C”. Stawała się stanowić dlań jego wyznaczenie wiary każdego pisarza, który związał się z pracą i walką swego narodu. Tym bardziej godzi się je pamiętać, że ich autor praktykę trudnego życia potwierdził siłownością swych wskazań.

Sygnalizowaliśmy wyżej bogatą problematykę artykułów i listów Ostrowskiego. Z braku miejsca nie można tu przypomnieć wszystkich ciekawych i ważnych jego wskazań. Zajmiemy się więc jednym zagadnieniem: sprawą stosunku

udało w wypadku tych postaci, które ukazał także walczyć na terenie Korei. Sylwetki dzieci w gototańskim domu są zarysowane bardzo żywo. Są wśród nich tzw. „mechanicy”, którzy odznaczają się dużym zainteresowaniem dla wszystkich mechanizmów i niekiedy potrafią sprawić wiele kłopotu. Jest młody „wynalazca” Tsou Gu-So i poeta Rin Kou-Chim, dla którego Puszkina stał się symbolem poezji. Gototańscy „Puszkini” i tancerki Pak-Sou-Dza oraz Kim Gou-Suk — to słowa i duma gototańskich „Korei”.

Wiele trudu wskutek nieznajomości języka wykazywali polscy wychowawcy w poszukiwaniu jak najlepszych metod porozumienia się z dziećmi i przywrócenia im utraconej radości życia.

Przyjazne, serdeczne uczucia dyrektorki, wychowawców, kucharki Parypynskiej, mechanika Peta powoli zacierają koszmarny wspomnienia. W tej atmosferze wraca powoli zabrawane dzieciństwo.

Tęsknota za krajem, echa wiadomości z przebiegu walk w Korei, stosowanie coraz bardziej okrutnych rodzajów broni przez agresorów amerykańskich mają jednak odzyskane chwile radości. Jakże często mała Kim Che-suk płacze nocami wtulona w poduszkę. Ojciec jej walczy jako major w Korei.

„Każde z tych dzieci — mówi Brandys — ma już jasny i ustalony pogląd na świat. Niewzruszoną linię podziału świata wytyczają groby ich zamordowanych rodziców. Po jednej stronie są mordercy, po drugiej przyjaciele. Przecież podnosi i krzepi małe serce szczególnie, że przyjaźni jest aż tylu. I Ruski jest i Kitaj jest. I India, i Polski, i Bułgari”.

„Nasz dom jest waszym domem” — głosi w języku koreańskim napis umieszczony nad głównym wejściem do domu dzieci koreańskich w Polsce.

Niedawny jest koszmarny wojny hitlerowskiej w Polsce i przy czytaniu książki o dzieciach koreańskich nasuwa się jej wspomnienie. Oblicze faszyzmu jest to samo. Pamiętamy, jak wiele zginęło dzieci polskich i żydowskich. Nie miały gdzie wybiegać dzieci zamoczonej, warszawskiej getta... Jakże jest piękna i jak cenimy przyjaźń narodów, która ratuje dzieci od zagłady. Dom odzyskanego dzieciństwa, to Polska Ludowa. Przyjaźń narodów i ich walka w obronie Pokoju budzi nadzieje koreańskich dzieci.

pisarza do krytyki i zadań, które Ostrowski przed nią stawia.

„Krytyka — to prawdziwość obieg krwi, bez krytyki nieunikniony jest zastój i objawy chorobowe” — stwierdza Ostrowski. Lecz jakie warunki winien spełnić krytyk, aby pomóc rzeczywiście pisarzowi, aby przyczynić się do jego dalszego rozwoju. W czym i jaka pomoc potrzebna jest przede wszystkim każdemu twórcy?

Po pierwsze: krytyka powinna być ostra, bojowa. Na posiedzeniu Związku Pisarzy Radzieckich, poświęconym dyskusji nad „Zrodzonym z burzy”, Ostrowski mówił: „Pruszę was, ażebyście mi po bolszewicku, być może bardzo surowo i bezwzględnie, wskazali wszystkie braki i przeoczenia, których dopuściłem się w mojej pracy... Wymagacie ode mnie dużo, bardzo dużo. Podchodźcie do mnie jak do pisarza w pełni odpowiadającego za swój utwór zarówno jako literat, jak i komunista”. W świetle tego cytatu sprawa jest jasna: krytyka winna być śmiała i bezkompromisowa także dlatego, że godność pisarza cierpi na traktowaniu go po białym, z góry zakładającym niski poziom wyrobienia ideowego i artystycznego.

Po drugie: krytyka winna być sumienna, oparta na rzetelnej analizie materiału utworu. Lekkoomyślna, z palca wyssaną tezę jednego z krytyków o „karłowaceniu Korczagina w zamęcie walki rodzinnej z mieszczańskimi krewnymi żonami” pisarz nazywa „kopniakiem, który trafił go w twarz”.

Po trzecie: krytyka winna być konkretna. Ostrowski stwierdza nieprzypadkowo ogólnych cenzurę w rodzaju tej, wystawionej powieści „Jak hartowała się stal” na łamach czasopisma „Książka młodzieży”. „W książce są również pewne chropowatości językowe, niestandardny język, szablonowe opisy”. „Autor — pisze Ostrowski — nie dał odpowiedzi, na czym polega ten brak opracowania, a tego potrzeba mi najbardziej”.

Po czwarte: Autor „Jak hartowała się stal”, książki stałe przed siebie poprawiane, ostrzegane przed niepoważnym, niewychowawczym stosunkiem do pisarza, polegającym na poprawianiu utworów bez jego udziału, na wprowadzaniu do książki rzeczy, których sam nie przeczytał i sam nie napisał. Nie na tym powinna polegać redakcja książki, zabieg składowy bezwzględnie konieczny. Postępujemy, jak daje odprawę krytykowi Dajredziejewowi, który w swej recenzji zwrócił się do znanego pisarza W. Iwanowa z propozycją „zharmonizowania wewnętrznej” pierwszej powieści autora. „Książka ma wiele braków”. Jest daleka od doskonałości. Ale jeżeli napisze ją na nowo szanowany Wsiewłod Iwanow — to czyż to będzie utwór — jego czy mój? Gotów jestem uczyć się u Wsiewłoda Iwanowa. Ale przerabiał swoją książkę muszę sam, przemysławsz, uogólniwszy wskazówki mistrzostwa literatury. Nam, młodym, potrzebne są te wskazówki jak powietrze”.

Wybrałem tylko parę problemów z całego ich bogactwa, które odwołania się czytelnikowi z artykułów, przemówień i listów Ostrowskiego. Dobrze byłoby, gdybyśmy chcieli być one do lektury całego tomu. Warto bowiem zapoznać się z kroniką uczuć i myśli tego człowieka, który i w życiu i w twórczości był równie bezkompromisowym komunistą.

W. B.

ZWYCIĘSTWO POKOJU

LUDWIK MYSAK

Nadzieja ludów

Wyniki wyborów włoskich nasuwają wiele pouczających wniosków.

Rządząca chadecja była tak pewna, że wraz ze sprzymierzonymi partiami dostanie więcej niż połowę wszystkich oddanych głosów, że przeformowała uprzednio oszukującą ordynację wyborczą, zapewniającą tej większości premię w postaci około 80 mandatów. To dałoby zaprzędanemu imperializmowi amerykańskiemu partiom trującą większość parlamentarną dla kontynuowania antyludowej polityki zdrady narodowej.

Nic z tego jednak nie wyszło. Pomimo finansowanej przez Wall Street intensywnej propagandy, pomimo kampanii oszczerstw i kłamliwych obietnic poparcia Watykanu i terroru policyjnego panująca reakcja poniosła w wyborach klęskę. Zwycięstwo odnieśli komuniści i lewicowi socjaliści zdobywając blisko 10 milionów głosów, to jest o 2 miliony więcej niż w wyborach 1948 r.

Dwa miliony uczciwych Włochów, którzy jeszcze 5 lat temu wierzyli demagogicznym obietnicom De Gasperiego, przekonali się od tego czasu, że droga, którą ich wiedzie chadecja, jest złą. Ludzie ci poczuli na własnej skórze, że osławiona „pomoc” amerykańska przynosi im bezrobocie i nędzę, że przekształca ich kraj w kolonię i prowadzi go do nowej wojny. Wśród wielkiej masy ludzi, którzy ujrżeli prawdę, znalazło się sporo chłopów, którzy stwierdzili ponadto, że reakcyjne partie kapitalistów i obszarników nie mają ucale zamiaru dać im ziemi i oswoić ich od przeżytków feudalizmu, które panują jeszcze w znacznej części kraju.

Wyniki wyborów we Włoszech świadczą o poważnym wzroście nastrojów pokojowych. Głoszący przeciw chadecji masy pracujące wyprzedziły się przeciw paktowi atlantyckiemu, przeciw odrodzeniu Wehrmachtu i przeciw obecności wojsk amerykańskich w ich kraju. We Włoszech — podobnie jak i w innych państwach Europy Zachodniej — rośnie opór ludu przeciw narzuconemu przez Amerykę polityce budżetów wojennych i militarystyki gospodarki, przeciw polityce antykomunizmu i faszystowskiej polityce zmiany polityki wewnętrznej i zagranicznej ich kraju.

Kierowana przez chadeków koalicja rządowa ma w nowym parlamencie znikomą i wobec tego bardzo nieistotną większość. W tych warunkach nader trudno jej będzie uzyskać poparcie parlamentu dla kontynuowania dotychczasowej polityki.

Omawiając nową sytuację, która wytworzyła się po wyborach, wódz Komunistycznej Partii Włoch i narodu włoskiego, Palmiro Togliatti z „oponował” zjednoczenie wszystkich sił, które chcą prowadzić politykę zgodną z wyrażoną w wyborach wolą ludu i z interesami narodowymi Włoch. Takiego rodzaju koalicja prowadziłaby politykę pokoju i przyjaźni ze wszystkimi narodami przyznającą się do odprężenia w stosunkach międzynarodowych. W polityce wewnętrznej zmobilizowałaby ona wszystkie rezerwy kraju do walki z nędzą ludu i przeprowadziłaby reformy społeczne, których domaga się naród.

Zwycięstwo sił demokratycznych we Włoszech ma poważne znaczenie międzynarodowe. Uderza ono w reakcyjne siły próbujące montować bloki wojenne w Europie Zachodniej, wzmacnia światowy obóz demokracji i pokoju.

ALBERT ROLLAND

„POMYŁKA” KRÓLA SOBIESKIEGO

Człowiekowi, który odwiedza dziś Turcję, na długo pozostają w pamięci sceny okropnej nędzy. Kraj ten kojarzy się u mnie z widokiem ludzi obdartej, odzianych w gałgany. We wsiach prowincji Anatolii widziałem chłopów chodzących bosą po śniegu. Inni dreptali w samych kaloszach bez trzewików i skarpetek lub mieli nogi owinięte w szmaty. Jednocześnie po ulicach Ankar, Istanbula i Smitny paradyli ubrani z krzącącą elegancją członkowie klas posiadających.

Gdy doradcy z USA przejęli kontrolę nad gospodarką i polityką Turcji, miejscowa reakcja zapewniała, że wujaszowie zza oceanu zamierzają wydzierać kraj z zaoferowania i zapewnić ludności dobrobyt. Stało się jednak inaczej. Ani jeden cent z dolarowych pożyczek nie poszedł na potrzeby zbledzonych mas ludowych, przeciwnie, zależność od Wall Street spotęgowała jeszcze niedole ludu pracy.

Na rozkaz amerykańskich „opiekunów” Turcja utrzymuje milionową armię na 20 milionów mieszkańców. Z polecenia Waszyngtonu 80% budżetu tureckiego idzie na zbrojenia, a na oświatę i ochronę zdrowia mniej niż 10 proc. Amerykańscy „pryjaciele” doprowadzili do ruiny rodzinny przemysł. Tytuł z Włochy wyparł prawie całkowicie z rynku światowych znany w swoim czasie tytuł turecki. Deficyt tureckiego handlu zagranicznego wyniósł w 1952 r. około 600 milionów lirów. Rozwija się tylko wydobycie surowców strategicznych: chromu, miedzi i ropy, które się wywozi za pół darmo do USA.

Za parę dni miną trzy lata od chwili, kiedy na 38 równoleżnikach padły pierwsze strzały agresji przeciw Korei.

Dla narodu koreańskiego były to lata nieopisanych cierpień i bohaterskiej walki. Na wszystkich krańcach świata uczyli ludzie z głęboką sympatią śledzili martyrologię dumnego i nieustraszonego ludu, który padł ofiarą nie-nasyconej żądzy grabieży monopolistów z Wall Street. Oburzenie ogarniało nas na wieść o pociskach napalmowych lub o bakteriach tyfusu



Amerykańska matka wita syna, dawnego jeńca, wracającego z Korei

i cholery, którymi najeżdżący próbowali wytepić milijony wolności narodu. Barbarzyńskie naloty na Pchian przypominały nam zburzenie Warszawy. Słowo Kożedo kojarzyło się ze straszonym ognisł słowem Oświęcim.

Nawet ludzie, którzy z początku mało troszczyli się o losy wojny toczącej się o tysiące mil od nas, w ciągu tych lat zrozumieli, że bohaterski naród koreański broni nie tylko swych domów i swych dzieci, swę starę kulturę i swęgo bytu narodowego. Zrozumieli oni, że bojownicy z Pchianu walczą także o wolność, kulturę i pokojowe życie wszystkich narodów, którym imperializm zagraża niewolą, barbarzyństwem i zniszczeniem.

„To, co się stało w Korei, powinno być stać się w takim lub innym punkcie kuli ziemskiej” — przyznał cynicznie jeden z czołowych strategów Pentagonu, generał Van Fleet. Powinno to było stać się gdziekolwiek i setki tysięcy niewinnych ludzi „powinny” były zginąć po to, by amerykańscy królowie czołgów zagarnęli bajeczne zyski i by mogli przeprowadzić próby nowej wojny światowej, której tak namiętnie pożąda.

Dla osiągnięcia błyskawicznego zwycięstwa, agresorzy ścignęli milionową armię, wyposażoną w najnowocześniejszy sprzęt. W czasie drugiej wojny światowej Amerykanie nie wysłali tak potężnych armii przeciwko Wehrmachtowi. Jeszcze jesienią 1950 roku Mac Arthur obiecywał swoim żołnierzom, że Boże Narodzenie spędzą już w domu. Rzeczywistość wykazała jednak, jak próżna jest chętność współczesnych pretendentów do panowania nad światem. Największemu mocarstwu imperialistycznemu nie udało się pokonać niewielkiego liczebnie narodu, broniącego swej ziemi ojczyzny.

Bohaterski naród koreański nie był osamotniony w swej walce. U boku jego armii walczyli ochotnicy z sąsiednich Chin Ludowych, które miały być kolejną ofiarą inwazji jankesowskiej. Ogronnego poparcia moralnego udzielał Korei wielki na-

ród radziecki. Przedstawiciele Kraju Rad i państw demokracji ludowej, w ONZ demaskowali wciąż zbrodnie agresorów i wzywali do położenia kresu wojnie na Korei. Wystąpienia dyplomatów obozu socjalizmu odbiły się głębokim echem w sercach wszystkich milijonów pokój ludzi. Pod naciskiem światowej opinii publicznej Waszyngton musiał zgodzić się na rozpoczęcie rokowań o rozejm.

Historia dwuletnich pertraktacji rozejmowych, to łańcuch prowokacji i sabotażu ze strony amerykańskiej i epos cierpliwości, dobrej woli i chęci porozumienia ze strony koreańsko-chińskiej.

Już w grudniu 1951 roku obie strony wymieniły listy jeńców. Zdawało się, że nie już nie stoi na przeszkodzie zawarcia zawieszenia broni. Lecz wówczas Stany Zjednoczone wysunęły sprzeczną z prawem międzynarodowym i ustaloną tradycją wszelkich traktatów pokojowych zasadę „dobrowolnej repatriacji jeńców”. W myśl tej zasady sto tysięcy jeńców koreańskich i chińskich miało nawet po wojnie pozostać w niewoli amerykańskiej. Falsz i zakłamanie tej propozycji demaskowali sami jeńcy. Ci, którzy mieli rzekomo odmówić powrotu do swych domów podjęli bój przeciwko terrorowi, przy pomocy którego Amerykanie chcieli skłonić ich do wyrzeczenia się swej ojczyzny. Rozwieszono tym oporem dowództwo amerykańskie uciekło się do masowych rozstrzelanych bezbronnych jeńców.

Dwulicowe stanowisko rządu waszyngtońskiego, który głosił idee pokoju, a w praktyce nie dopuszczał do rozejmu w Korei, wywołało oburzenie opinii światowej. Nawet rządy „sprzymierzonych” z USA krajów musiały pod naciskiem swych ludów

potępić krętaką taktykę delegacji amerykańskiej w Panmunzonie. W samych Stanach Zjednoczonych ruch za bezwzględnym zaprzestaniem wojny koreańskiej ogarnął dziesiątki milionów ludzi. „Eisenhower stoi w obliczu wyboru między zgodą na rozejm, a wojną, jaką USA prowadziłaby samotnie, gdy alianci z ONZ nie mają żadnej ochoty kontynuowania walki... Wątpliwe jest, czy naród amerykański zgodziłby się w obecnych warunkach na dalsze ofiary na rzecz wojny” — pisał ostatnio komentator dolarowego koncernu prasowego Scripps-Howarda.

Gdy rządy Korei i Chin wystąpiły niedawno z nową inicjatywą pokojową, którą Związek Radziecki poparł swym wielkim autorytetem, imperialiści zza oceanu widzieli się zmuszeni do powrotu na drogę rokowań, którą tyle razy opuszczali pod najblaszyszymi pretekstami.

Według ostatnich wiadomości z Panmunzonu czynione tam już są ostatnie przygotowania do podpisania rozejmu. Cały świat czeka niecierpliwie na radosną wieść, że operacje wojenne zostały wreszcie wstrzymane na polach Korei.

Wielki pisarz radziecki Ilija Erenburg nazwał wiosnę tego roku wiosną pokoju. I istotnie, co kilka dni słyszymy teraz o nowym poważnym zwycięstwie sił pokoju na jakimś odcinku świata. Niezwyciężona potęga obozu pokoju, któremu przewodzi wielki Związek Radziecki, uniemożliwia realizację nieczynnych zamysłów monopolistów nowojorskim. Ogromna większość ludzkości zaangażowała się w ogarniającą cały świat walkę o szlachetny cel, o wywalczenie trwałego pokoju.

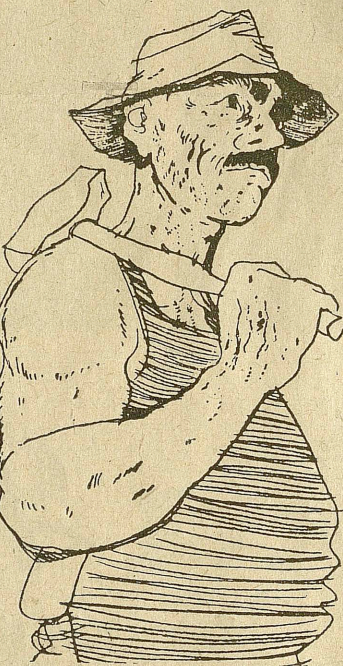
Ludwik Mysak

GEORGE BIDWELL

PORTRET WALCZĄCEGO NARODU

RÓWNO dwanaście lat temu Manolis Glezos zdart sztandar ze swastyki, sztandar hitlerowskiego okupanta, ze szczytu Akropolisu. Dziś z rozkazu okupanta amerykańskiego Manolis Glezos znajduje się w więzieniu wraz z dziesiątkami tysięcy innych patriotów greckich.

Taki jest obraz Grecji naszych dni. Obraz ten ukazuje w szeregu



wstrząsających rysunków świetny malarz angielski, Paul Hogarth, który swe życie związał z ruchem klasy

robotniczej. Rysunki te cieszyły się niedawno wielkim powodzeniem na wystawie zorganizowanej przez Międzynarodowy Klub Prasy i Książki w Warszawie.

Rysunki Hogartha ukazywały się teraz w książce „i o niej pragnę powiedzieć parę słów”. Książka znajduje się u nas w sprzedaży. Wartość jej podnosi przedmowa znanego postępowego pisarza, James Aldridge'a. Przedmowa ta jak i wstęp samego Hogartha są w języku angielskim. Reszta zaś książki złożona z 50 rysunków mówi językiem plastycznym, zrozumiałym dla wszystkich.

„Współczesny bieg wydarzeń w Anglii — pisze Hogarth w swoich uwagach — zmierza do zepchnięcia artysty w głąb izolowanej pracowni. Nie można jednak żyć w świecie oderwanym i wata obcości zatykać uszy na odgłosy przygotowywanej wojny. Artysta musi w pełni być dawną u nas nieobsadzoną rolę malarzowskiego sumienia ludzkości, ukazywać tragedię i bohaterstwo naszych czasów.”

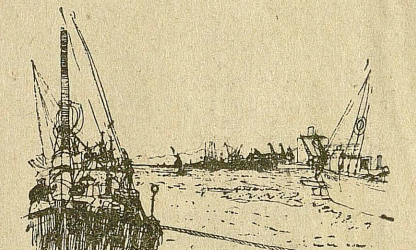
Latem zeszłego roku Hogarth udał się do Grecji. Znalazł kraj bijący wszelkie rekordy. Grecja otrzymała rekordową sumę „pomocy” USA — przeszło 2 miliardy dolarów. Wyniki tej pomocy również są rekordowe. Grecja ma aż 21,6 proc. ludności pod bronią, zmobilizowanej aż nazbyt często przemocą. 48 proc. budżetu idzie na zbrojenia — więcej niż u któregośkolwiek z satelitów Ameryki. Deficyt budżetowy jest najwyższy w świecie i wynosi 80 milionów dolarów. Analfabeci stanowią 40,8 proc. ludności — jeszcze jeden rekord w Europie. Równocześnie zaś wszystkie co lepsze gmachy w centrum Aten zajmują amerykańskie przedsiębiorstwa, w kosztownych hotelach mieszkają wyłącznie okupanci. A wreszcie rekord bezrobocia — 30 proc. zdolność do pracy ludności — i rekord cen, najwyższych cen w świecie, według danych ateńskiego przeglądu gospodarczego „Nea Oikonomia”.

Z drugiej strony są inne, krępujące tym razem rekordy. Lud grecki stawia nieugięty opór rządowi amerykańskich okupantów i od 1951 ilość strajków w Grecji była najwyższa w świecie. Strajkują robotnicy, strajkują również urzędnicy państwowi, pracownicy banków i innych wielkich przedsiębiorstw. Burzująca grecka i władcy amerykańscy uciekają się dla zwalczania rosnącego oporu ludu do tych samych wypróbowanych metod, jakie wszędzie stosuje faszyzm: masowe aresztowania i egzekucje, terror. Srodki te okazują się tak bardzo



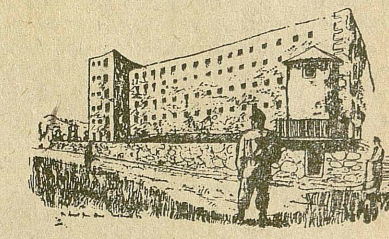
nał, który wymierza okrutne wyroki patriotom greckim. Żona bezrobotnego sprzedaje zapalki na ulicy, setki ludzi wybierają się ścieżkami w pobliżu bazarów żywnościowych odpadki mięsa i zgnitych owoców; bosc dzieci czyszcza buty przechodniów, których stać na obuwiu; oto typowe obrazy ateńskie.

Na plan pierwszy wysuwają się jednak podobizny przywódców walczącego ludu. Głęboka wiara w



bezsłusne, że nawet ultrareakcyjny dziennik „Embros” stwierdzał niedawno: „Amerykanie powinni zrozumieć, jak bardzo poważne jest zagrożenie głodu. Pustych żołądków nie można w nieskończoność zapełniać obietnicami — któregoś dnia odmówią posłuchu”.

Wszystkie te zjawiska widzimy odwzorowane w rysunkach Hogartha. Oglądamy widoki wspaniałych kawiarni — miejsce spotkań Amerykanów i nielicznych Greków zarabiających na okupacji. Widzimy twarze prokuratora i generałów, znanych faszystów, tworzących trybu-



przyszłość, jaką tchną ich twarze, jest zarazem niezłomną wiarą całego narodu Grecji.

George Bidwell

*) „Walczący naród” — „Defiant People” Lawrence and Wishart, London 1953.

ZŁATUSZA

(Dokończenie ze str. 2)

czyła kózuch dziadka Stojna, rzuciła garść prosa kurczętom i znów wzięła gasiorek.

— A no, teraz dla chłopów! Oni też ludzie!

Chłopcy, którzy zwozili ziemię i zasypywali przepaść, powitali babkę Złatuszę gromkim „hurra”!

I tak mijął dzień za dniem. Do końca robót nad Diabelską Przełęczą babka Złatusza nie pozostawiała pracujących bez wody. Przed południem nosiła wodę dziewczętom, a po południu chłopcom.

Przyszła jesień. Młodzi ułożyli szyny na olbrzymim nasypie, pierwszy pociąg przejechał przez wiadukt nad Diabelską Przełęczą i dudniąc głośnie zniknął w tunelu.

Była wielka uroczystość. Na polance przed stacją siedem baranów piekło się na rożnach. Komendant brygad, które budowały linię kolejową, przemówił do zebranych. Ludzie słuchali go z rozzłością i wściekłością.

W końcu powiedział:

— Młodzi budowniczy naszej republiki, bracia Bułgarzy! Gdy w piątym wieku po narodzeniu Chrystusa ukończono budowę Aja-Sofii w Konstantynopolu, na jednym z kamieni węglanych u wejścia wy-

ryto napis: „Świątynia ta została wzniesiona przez cesarza Justyniana”. W dniu jej poświęcenia urzędnicy cesarscy ze zgrozą zauważyli na tym samym kamieniu jeszcze jeden napis: „Świątynia została wzniesiona przez wdowę Eufrazję”. Cesarz rozkazał natychmiast odszukać wdowę i zapytać o jej udział w budowie. „Wcale nie brałam udziału. Tylko wodę dawałam spragnionym wołom. Codziennie przejeżdżały koło mego domu wozy z kamieniami na budowę. Wnosiłam wiadra pełne wody i poliałam zwierzęta”. Długo głowiliśmy się nad nazwą nowej stacji. Ocenialiśmy zasługi każdego z was i wreszcie postanowiliśmy tę pękłą stację wzniesioną z żółtego kamienia błogosławionym trudem naszego ludu nazwać imieniem staruszki, która przez całe lato dźwigała w gasioru wodę ze studni krzemionkowej do Diabelskiej Przełęczy. „Złatusza” — taką nazwę będzie nosić nasza stacja. Niech żyje babka Złatusza!

Babka Złatusza rozrzewniała się. Nogi jej pod nią ugęły.

— Czyście poszaleli... dzieci? — rzekła, przysiadła na kamieniu i zapłakała ze wzruszenia.

Angel Karalijczew

Albert Rolland

LUDOMIR DMYTERKO

Z O S I A

Panna Zosia... To imię znajome...
Poloneza wiodła na balach;
nad ranem wracała do domu
w aksamiatach, jedwabkach i szalach.

W takie to noce rówieśnice Zosi
w chatach snem martwym spały umęczone;
w poranki chłodne i mokre od rosy
świsłem bata dudził je ekonom.

I za odrodek albo nędzną płacę
szła inna Zosia bosą o świtanie
harować do folwarku o godzinie
— Jasnienie panienko, przyniosłam śniadanie...

Spotkałem kiedyś w czas ranny na moście
nie tę z dworu i nie tę z folwarku,
lecz inną Zosię: jasniała radością,
śląc światu uśmiech w najmielszym podarku.

Dokąd tak śpieszy z torbą na ramieniu
dumna z swej nowej, kwiecistej sukienki?
Przecież los Zosiom we wsi się odmienił,
nie ma we dworze już jasnie panienki.

— Jak ci na imię? — zatrzymuję małą.
— Zosiu, chodź szybko! — ktoś nagle zawołał.
Jej koleżanka.

— Dokąd? Co się stało?

— Do dworu.

— Po co?

— Bo w dworze jest szkoła.

Przełożył z ukraińskiego St. Edward Bury

MICHAŁ BAŁUCKI

„TYGODNIK KRAKOWSKI“

(Fragmenty z felietonów Bałuckiego z r. 1869)

NAJTEUSTSZE ZWIERZTA

O TO jeden uczonej graf w studiach swoich nad zwierzętami dziwi się dlaczego chłop polski nigdy upaść się nie może. Nie wchodząc w powody, dla których hrabia chciałby mieć wypasionych chłopów i nie mając pewności czy i jak długo ten hrabia zajmował się karmieniem chłopów, przytaczamy własne jego słowa, którymi motywuje swój podziw: „Myśl go (t.j. chłop) nie męczy, nie trawi. Gdy nie je, nie pije, lub nie pracuje zasypia zaraz, zbyteczna praca z pewnością go nie niszczy, namietności nim nie miotają(!), miłość i straty do szaleństwa nie prowadzą(!!), uczucia nadziejskie go nie szarpają(!!!) a chciwość nie mija, nie trawi, a przecież podpaść się nie może”.

Oto są słowa, które znalazły miejsce w jednym z poważniejszych pism krajowych.

Nie mamy wcale za złe p. hrabiemu, że nie zna ludu, który tyle lat na niego pracował (nie on pierwszy i nie ostatni), że się uoli zajmować zwierzętami, boć i to bliźni nasi według teorii Darwina; ale nas dziwi, że przyznając sobie i zwierzętom uczucia i namietności odmawia ich chłopom naszym. Gdyby p. hrabiemu los był pozwolił urodzić się sędzią, a przynajmniej aktuariuszem i być świadkiem tego niezliczonego szeregu procesów chłopskich, w których wchodzi w grę te wszystkie uczucia, od jakich pan hrabia odsadza chłopów polskieg, byliby może nie strzelił takiego nieuczciwego baka. Że są ludzie, którzy nie myślą, nie czują, nie pracują, jeno kotłując się na miękkich fotelach i na resorach karet jedzą i piją, w to wierze, ale żeby ta ulomność wspólna była całej kście, całej klasie — w to panu hrabiemu katechizm wierzyć nie pozwala. Gdyby zamiast tych licznych pytań, drukowanych w „Przeglądzie polskim”, p. hrabia był zapytał ekonomów swego papy, a nawet swego ekonomia (myślę tu ogólnikowo), oni by może mu wytłumaczyć umieli, dlaczego chłop polski dotąd się nie podpał, podczas gdy inni bliźni pana hrabiego z najłustszymi zwierzętami (mówię tu ogólnikowo) o pieruszeństwo ubiegać się mogą. (nr 63 z 19.V.1869 roku).

N A WYSTAWIE ROLNICZEJ

PRZY koniach zastalem kilku nastu młodych ludzi, ze szkieletami na nosie, z minami, które mogłyby służyć za podwalinę światu całemu, z rękami utopionymi w kieszeniach pantalonów, oglądających konie.

— Czy to komisja znawców rozdająca nagrody? — spytałem obok stojącego.

— Nie panie, to dopiero kandydaci na przyszłych znawców, którzy miny swoje modelują podług wzorów, jakich im nastrojąca do-
e:ojne figury.

Chciałem już opuścić tę stronę i przejść do pocztynych baranów pokukających żałośnie gdy jakiś młody człowiek gromkim głosem zawołał na ranny od krów, stojąc jak się zdaje pod jego rozkazami:

— Pan minister idzie, bydlę niech wstaje!

Miałem w tej chwili ochotę uścisnąć na ziemi, dla utrzymania honoru mego człowieczeństwa.

W podcieniach tymczasem powstał ruch i hałas. Groźba, batem lub jedzeniem starano się skłonić ród czworonożny do oddania winnego holdu ministrowi przez powstanie. Ale było zawsze bydlę. Pan minister ogląda, chwali, a że by też jedna krowa frontem się sprezentowała, pokłoniła się jako ta... Co by to niejedną ze święty galopującej za panem ministrem dał za to, żeby tak mógł zwrócić jego uwagę na siebie, jak nie przynie-

rzając grodkowickie krowy; ileż tam było uśloń, aby stanąć jak najbliższy tego wielkiego ołtarza, otrzęść się o niego, a choćby nawet być nadeptany, przez niego. Te uślońowania były dla mnie jednym do-
wodem więcej różnicy ludzi od zwierząt...

Wchodząc na wystawę widziałem przed bramą mnóstwo powozów u-branych w herby, lokajów — a bar-
dzo mało brzydek wiejskich i brak
pełny wozów chłopskich.

Wstawa więc rolnicza dla je-
dzących grodkowickie krowy; ileż
tam było uśloń, aby stanąć jak
najbliższy tego wielkiego ołtarza, o-
trzęść się o niego, a choćby nawet
być nadeptany, przez niego. Te u-
ślońowania były dla mnie jednym do-
wodem więcej różnicy ludzi od
zwierząt...

Wstawa więc rolnicza dla je-
dzących grodkowickie krowy; ileż
tam było uśloń, aby stanąć jak
najbliższy tego wielkiego ołtarza, o-
trzęść się o niego, a choćby nawet
być nadeptany, przez niego. Te u-
ślońowania były dla mnie jednym do-
wodem więcej różnicy ludzi od
zwierząt...

GULDENY WYBIERAJĄ...

NIE jestem ja chwała Bogu
radcą miejskim, nie jestem na-
wet wyborcą, bo jako kronikarz
do inteligencji nie należę, ani tyle
nie zarabiam, żebym miał 6 reń-
skich płacić podatku, od czego re-
szta chowaj mnie Panie Boże. Nie
znam się więc na tak uczonych
kwestiach, ale to wiem, że jeżeli
ja mam sto tysięcy, a mój sąsiad
tylko dziesięć, to ja mogę obierać
dziesięć razy tyle radców co on.
Bo dziś nie idzie o reprezentowanie
ludzi, tylko guldenu, nie ludzie
więc, ale guldenty wybierają powin-
ny. Inaczej wszystko wywrócić się
musi, bo guldenty zamkną a ludzie
gadać zaczęną, co się ani z rozsą-
dkiem ani z prawą równością nie
zgadza. (nr 53 z 4.V.1869 roku).

KSIĄŻKI LUDOWE?

DOTĄD kirmiono lud nudny-
mi, moralnymi naukami i ży-
wołami świętymi. A wszakże
tego pokarmu miał on zawsze pod
dostatką, z ambony, przy kon-
fesyonalach, na odpustach, w do-
mu nawet podczas koledy ma
sposobność dosyć nasłuchać się
nauk moralnych i żywotów świę-
tych. Obciążanie więc tym książek
ludowych jest straconą pracą, jest
dolewaniem wody do rzeki; tu trze-
ba rozszerzyć dziedzinę wiedzy, jak
to czynią zagraniczne wydawnic-
twa ludowe. Weźmy np. kalendarz
Auerbacha. Nie ma tam żywotów
świętych i królów, ale są wiadomo-
ści o bankach, o spółkach, stowarzy-
szeniach, o rolnictwie, wynalaz-
kach. Ten to bezbożny postęp, ska-
zany tylokrótnie przez ultramonta-
nów na potępienie i ogień piekiel-
ny więcej jakoś zrobił pod wzglę-
dem oświaty ludu niż patriarchalna
opieka duchowieństwa i pałaców”.
(nr 7 z 9.III.1869 roku).

„STRZYŻENIE OWIEC“

AMBONA jest dotychczas miej-
scem, skąd można rzucić bez-
piecznie gromy na wszelką
naukę wykraczającą za granice
świętej teologii. Wracam właśnie z
t.kiego kania, mianego z okazji
wzięcia jednego z ojców re-
formatów. Co ja się tam nasłucha-
łem, wsty Boże!

Takich kaznodziej nam więcej
a opustoszeją i w gruz się rozpysia
zbrodnicze przybytki niemoralności,
przewrotności, herezji, zwane szko-
lami. Gdyby świat wcześniej był się
w tym grzechu opamiętał nie mie-
libyśmy owych telegrafów, kolei
(których szanowny kaznodzieja
przez wstręt do wynalazków świec-
kich pewnie nie używał), ani ma-
chin, ani innych tym podobnych
świeckich wymysłów, tylko byłaby
jedna owczarnia — pełna strzyżo-
nych owiec”. (nr 203 z 3.XI.1869 ro-
ku).

Michał Bałucki

Osiągnięcia — a trudności, a walka?
Do Kierownika świetlicy w PGR Machnów, Kazimierza Krymera

Drogi Kolego!

Zdziwiłem się pewnie, że do Was piszę. Wy mnie prawdopodobnie zupełnie nie znacie, ja zaś widziałem Was tylko jeden raz w życiu. Było to niedawno temu na Naradzie Kierowników Produkcji Świetlic Wiejskich, kiedy dzieliście się z trybuny zjazdowej swymi doświadczeniami. Przypomniacie sobie: mówiliście wtedy o Waszym zespole PGR Machnów, o tej, jak go określiliście, „jednej z największych fabryk chleba w Polsce”. Powiedzieliście o szeroko zastosowanej mechanizacji, wspomnieliście nawet o samolotach, które stosowaliście do szu-
czynnych zasiewów. Powiedzieliście dalej, że to są rzeczy, za którymi praca kulturalna musi nadążyć, bo „naszym zadaniem jest wychować ludzi we właściwym stosunku do pracy, mobilizować ich, żeby wykonywali plany produkcyjne”. A potem przedstawiliście Wasze osiągnięcia w pracy kulturalnej wśród robotników rolnych.

A więc: racjonalność, oparty na szerokiej korespondencji z gospodarstwem, za pomocą którego zlikwidowaliście chuligaństwo młodzieży. A więc biuletyny popularyzujące dobrą robotę i piętnujące bumelan-
tów. A więc świetlica, wybudowana z inicjatywy traktorzystów — świetlica z 1000 miejscami 400 osób, a stale tak pełna, że „starsi młodzieńcy wypychają”. A więc chóry, orkiestra, szeroko rozwinięte czytelnictwo gazet i książek, gry towarzyskie i szereg jeszcze innych zajęć kulturalnych, dla których „tydzień jest za krótki”.

Ciekawe to było przemówienie: zadziwiło rozmachem, jakie przeprowadza. Jedno tylko wsta-
du mnie uderzyło, że nie czuło się u Was trudności, że wszystko szło gładko, bez napięcia i walki.

Przypomniacie sobie dobrze: mó-
wiliście do dn. 28 maja. I oto tego

samego dnia w nr. 126 „Sztandaru Ludu” ukazał się duży artykuł „Zlikwidować błędy w PGR Machnów”. W dzień później, 29 maja, drugi artykuł — skierowany do ze-
spółowej organizacji partyjnej.

Czy czytaliście te artykuły, ko-
lego Krymer? W nich obraz Mach-
nowa ukazuje się w innym, niż w
Waszym przemówieniu, świetle.

„Marnotrawstwo i niedbalstwo —
czytamy w jednym z artykułów —
w żadnym chyba PGR nie wystę-
puje z taką jasnością, jak w
Machnowie”.

Fakty:

Zespół posiada 2000 ha łąk, ale
brakuje paszy dla bydła. Stomę —
już od 5 maja — musi zespół spro-
wadzać z odległego o 25 km. PGR
Krzywiec. Tymczasem w Machno-
wie... setki q słomy, po wymłó-
ceniu ziarna nie zostało uprzą-
niętych i zgniół. Jeszcze kilka tygo-
dni temu wiele stert słomy zostało
spalone, nie wiadomo z czego
polecenia. Wykopków marchwi do-
konano dopiero w maju — oczywi-
ście z olbrzymimi stratami. Trakto-
rzyści, ci sami, którzy tak chętnie
przesiadują w świetlicy, pozwa-
lają sobie na jazdy traktorami dla
przyjemności, lub, co gorsza, do od-
ległego o 30 km. Tomaszowa po-
wódek!

I co wy na to, kol. Krymer? Dla-
czego te sprawy pominęliście w
swoim przemówieniu? Czyżby nie
wzięły się one z Waszą robotą
kulturalną, która, jak sami mówi-
cie, ma „wychowywać i mobilizo-
wać ludzi”? Czy, powiedzmy jesz-
cze więcej, stosunek do tych
spraw nie decyduje o ocenie skute-
czności tej pracy?

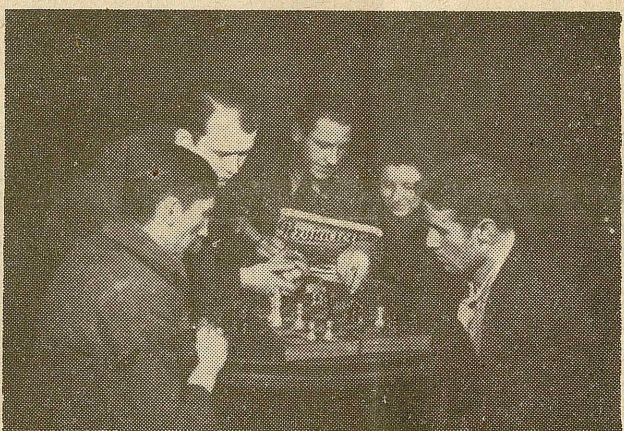
Nie mówię kol. Krymer, że nie
macie osiągnięć: wierzę, że rozru-
szaliście życie kulturalne w Zespo-
le, że stworzyliście aktywną świetli-
cowy, że wprowadziliście szereg
ciekawych, pożytecznych form pra-
cy.

Ale wszystkie te osiągnięcia —
wszak tak sami stawialiście sprawę,
— rozstanały jedynie formalne i po-
wierzchnie, pozbawione politycz-
nego celu i treści, o ile nie zostaną
wprężone w służbę głównego za-
dania, jakie stoi każdorazowo przed
macierzystym zespołem.

Dzisiaj to główne zadanie dla
PGR Machnów brzmi: za wszelką
cenę zlikwidować marnotrawstwo
mienia publicznego. Na to zadanie
powinna być dzisiaj nakierowana i
Wasza praca kulturalna — ona de-
cidować powinna o treści tej pra-
cy, do niego trzeba było przystoso-
wać metody tej pracy. Jak to za-
danie wykonujecie — o tym powinni-
ście, kolego Krymer, opowiedzieć
przede wszystkim na Krajowej Na-
radzie: jak wykorzystujecie w tym
celu biuletyny i radiowęzeł, chóry i
pogadanki i wszystkie te możli-
wości, które stwarza codzienna ma-
sowa frekwencja w świetlicy. Po-
winniście być opowiedzieć o Wa-
szych trudnościach i Waszej walce,
trudno bowiem wierzyć, że nie
bierzecie w niej udziału; powinni-
ście być pokazać żywych ludzi —
tych, których wychowujecie i tych,
którzy w tej pracy Wam pomagają.
Wtedy dopiero mogli byśmy powie-
dzieć, że praca Wasza jest nie tyl-
ko formalna, że służy ona umoc-
nieniu gospodarki socjalistycznej,
posiada głębokie znaczenie politycz-
ne i wychowawcze.

Trudno, Kolego Krymer, wytłu-
maczyć Wasze milczenie o tych
sprawach — najistotniejszych i de-
cydujących w Waszej robotce: Czy-
byście nie dostrzegli zadania, czy
też woleliście może przemilczeć
trudności i ciężkie zmagania, aby
nie mącić gładkiego, samochwalce-
go obrazu Waszych „osiągnięć”?
Apelujemy — wyjaśnijcie, jak się
rzecz ma w istocie i wyciągnijcie
potrzebne wnioski.

Jan Danecki



Gazetka gminna

Naukowe prawdy

Protestujemy stanowczo przeciwko
rzekom naukowemu stwierdzeniu, jakoby
pijakowi dwójko się tylko w oczach.
Nie podobnego. Praktyka służbowa Ko-
misji Mieszkaniowej przy GRN w Ty-
szowcach, pow. Tomaszów Mazowiecki
świadczą o czymś innym.

Mieszka w gromadzie Podbór robotnik
z cegielni Edward Martyniuk. Jego
niezwykłe przygody pozwolą nam wy-
snuć daleko idące wnioski naukowe.
Przygody zaczęły się od tego, że nasza
komisja postanowiła go usunąć z za-
mianowanego mieszkania. Nic to niezwyk-
łe, jakie komisje zdarzają się. Mieszka-
nia zastępczego robotnikowi nie przyna-
nia. Stąd też Martyniuk odmówił przy-
jęcia „urzędowej eksmisji”, na skutek
czego zjawia się komisja zaraz na
drugiego dnia u niego. I takie postępowanie
komisji może się powtórzyć.

Ale co dalej, to już do niczego nie po-
dobne. Ludomir Kuc, przewodniczący
ZMP w grom. Podbór, ujął się za ro-
botnikiem, oświadczaając, że nasze pra-
wo nie pozwoli wyrzucić Martyniuka z
żoną i dzieckiem do przydrożnego rowu.
Dostał za to po buzi od pijanych człon-
ków komisji. Fakt ten odróżnia naszych
urzędników od szarej masy innych.

No ale dlaczego naszej komisji nie
dwoilo się, lecz tróilo w oczach? —
oto pytanie zasadnicze, na które za-
mieramy właśnie odpowiedzieć. Otóż
dłatego, że przynali, wyrzucając Marty-
niuka, ob. Dudzińskiego Janowi, komen-
dantowi SP, trzecie mieszkanie. Ma-
ci on bowiem jedno u swojej żony, dru-
gie u matki a teraz trzecie za wsta-
wiennictwem naszej komisji. Mamy tedy
rację, że wyjątkowo tegim opojem mo-
że się nawet i troić przed oczyma świat.
Tak więc poparliśmy nieodpartymi
przykładami pewną teoretyczną myśl.
Powiadamy jednak corychciej do prakty-
ki, gdyż jeszcze dzień, dwa, a nieszczy-
ny robotnik zamieszka rzeczywiście w
przydrożnym rowie. Mamy taką radę:
wylać na głowę komisji tyle wody, ile
tylko zmieści się w butelkach po wód-
ce, którą wypili. Następnie wylać, jak
wraz z członkami komisji do strugi.
Niech spłynie z brudną wodą na znak,
że praworządności łamać nie wolno.

Jan Wichura

Zakochała się Rada w Kulturze

Trzeba przyznać, że Gminna Rada Na-
rodowa w Brzeźnie energicznie się
wzięła za kulturę w okresie Dni Kultu-
ry, Książki i Pras.

Dowody tego zwołania GRN odnale-
ziliśmy w... dzienniku podawczym a
następnie w obszernej tece z odpisami
listów. Dla przykładu zacytujemy wy-
jątki korespondencji w sprawie świetli-
cy w gromadzie Karłowick.

„GRN stwierdza z ubolewaniem, że
pomimo ogólnej mobilizacji na placzyz-
nie kultury i gminnym szczeblu, świe-
tlica w waszej gromadzie nie żyje ży-
ciem jak się należy, za co udzielamy o-
strej nagan naszej prawej ręce, to
jest soltysovi”.

O ile pierwszy list napisała tylko
pomoc biurowa, o tyle w drugim wystą-
pił sam przewodniczący.

„Co za skandale odgrywa się w Kar-
łowickach? Zapalać w świetlicy świeczki
jak za Ciecwicka? W mojej gminie i w
Polsce Ludowej? Jakież to świadectwo
dla toczącego się wulkanicznie postępu?
Przecież dziś obowiązują władza rad,

to znaczy się moja, plus elektryfikacja,
czyli mojego powinowatego z zakładu
energetycznego w Nowej Soli”.

Pozwalamy sobie zacytować na zakoń-
czenie jeszcze jeden fragment korespon-
dencji:

„Odpowiadamy mieszkańcom gromady
Karłowick, że troszczymy się o kulturę
zgodnie z zaleceniami władz. Kredytów
na elektryfikację przydzieliliśmy nie mo-
żemy, gdyż zainwestowaliśmy je w upo-
dobania estetyczne naszych pracowników.
A więc wydatkowano na firanki w
ludowe kwiatki z naszych stron (realiza-
cja oddolna postulatów uterenowienia
sztuki), wazoniki (także sama realizacja
na odcinku ceramiki), dywany (pomoc
mas dla artystów) i obrazy (popieranie
rodzimej sztuki odpustowej). Estetyzu-
jemy się pod hasłem: skoro ludzie mu-
szą u nas godzinami, dniami i miesiąca-
mi czekać na załatwienie, niechże wie-
dza, że przyszli do dobrze wyposażonej
Rady”.

Może, ale nie w rozum.

Piotr Pigwa

Zabawna historia

Sam się od śmiechu... powstrzymać nie
mogę, kiedy przychodzi mi napisać o
tym jak to dopięcinie i na weselo urzą-
dzą chłopów z Gromady Borki, pow.
Dąbrowa. Tarnowska, ich własna obs-
ługa kina wiejskiego. Powiadam wam —
cóż to za rozkoszni kawalerz A kawa-
ły? Jeden lepszy od drugiego!

Pomyślcie tylko... wywieszają afisze,
zapowiadają świetny film, a jak ludzie
zewsząd pociągają, z całej okolicy,
przysyłają telegram takiej treści: „Uda-
ła się z kinem bomba, a kto wierzy
ten traba”. Ładny dowcip, prawda?
Dla urozmaicenia puszcza się film bez
jakiegokolwiek zapowiedzi a w sprawo-
zdanu zamieniają pustą salę na pełną,
milczenie na ożywioną dyskusję.

Teraz inny kawał. Puścili film w

przypięsionym tempie i pokladali się
ze śmiechu, kiedy ludziska szaleli za
proszkami przeciw bólowi głowy. Za-
bawność sytuacji polegała na tym, że
w pobliżu nie ma apteki.

W tym roku obsługa kina wystąpiła
z najlepszym numerem popisowym. Wy-
czyta Borki z obsługi filmowej, co jest
tym komiczniejsze, że aktywni Borek,
Słupca, Maniowa i Woll Szczecińskiej
opracowali właśnie szczegółowe zapotrze-
bowanie na filmy oświatowe. Chłopi
chcieli zobaczyć nową technikę pracy.

„Ale to ci heca, co? No, śmiało — cze-
mu nie rzygniesz ze śmiechu? Macie ra-
cję. Śmiecie się bowiem naprawdę —
ostatni. W Borkach na pewno nie będzie
to obsługa kinowa.”

Borzywój Mieczarz

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 8-00-81 Adres re-
dakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.
Tel.: Red. Nacz. 883-86 Tel.: Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8.
Wydawca: WATUNKI, prenumeratorzy
mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe
oraz listonosze.
RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5 4-B-17142



CZESŁAW MICHNIAK

MASŁÓW W POWIECIE KIELCE
(czyli 1 × 262)

Dąbrowa pod Kielcami. Przez uc-
hryłone okno przedostawało się
do pokoju gorące tchnienie ma-
jowego dnia.

— Piszcze punktami — zaczął tow.
Detka, sekretarz P. ezydium GRN.
Punktów było — trzy.

— Chwileczkę, naprzód tytuł: Plan
pracy Gminnej Rady Czytelnictwa i
Książki.

Dyktawał, ja notowałem:

— Punkt pierwszy: rozpropagować
w gminie książki za 2 tysiące zło-
tych.

— Zrealizowano — rzekł, prostu-
jąc się z zadowolonym.

— Punkt drugi: w gromadach od
będą się pogadanki o okolicznościach
dla młodzieży i starszego społeczeń-
stwa.

— Jesteśmy w trakcie — powie-
dzał miękko.

— Punkt trzeci: gromady przystą-
pią do współzawodnictwa w zakre-
sie zwiększenia czytelnictwa zarówno
książek fachowych jak i literatury
pięknej.

— Może by tak odwieńczył którąś
z gromad — zaproponował.

— Masłów — podpowiedział tow.
Detka. — Przychodzący u was w do-
stawach na rzecz państwa...

— Masłów — powtórzył ze słone-
cznym uśmiechem. — Biblioteka,
chór, wzorowa szkoła podstawowa,
LZS...

— Palców wam brakuje — żartow-
wałem,

*

Poszedłem do Masłowa. Z Dąbro-
wy niedaleko — 4 kilometry. Wsię
przygłębiła do stop kamienistego
wzgórza, z którego na północny wi-
dac ciemną pianę lasów święto-
krzyskich, z drugiej zaś strony dy-
mące czubki kominów i wieże Kielc,
a daleko za nimi, na horyzoncie, po-
szerzoną sylwetkę piastowskich
Chęcin. Widok wspaniały.

Gromadzkim pełnomocnikiem Ra-
dy Czytelnictwa jest Józef Pabis.

Byłem w bibliotece, mieszczącej
się w nowym nie otynkowanym jesz-
cze budynku 7-letnim. Abonentów jest
171.

Czytają (rozpoczną od najmłod-
szych) rzecz jasna dzieci. Młodzież
szkolna. Ale nie tylko czytają, rów-
nież rozprowadzają książki. Ostat-
nio rozprowadzili we wsi kilkadziesiąt
broszur rolniczych. Cały „nakład”
poszedł w kilka godzin.

Książką interesuje się również
starsza młodzież, mam tu na myśli
chłopców, zrzeszonych w Ludowym
Zespole Sportowym. Siatkarze, pił-
karze, lekkooalecy na jednym z ze-
brań podjęli ważną uchwałę: Zbie-
ramy się raz w tygodniu i czytamy
„Chleb” Tołstoj. Potem przyjdzie
kolej na „Pamiętkę z Celulozy”. W
ten sposób w zespole powstała
czwarta sekcja — miłośników dobrej
książki.

Nasi młodzieńcy z LZS nie tylko
czytają, ale prawie wszyscy śpiewają
w słynnym na cały kraj chórze ma-
słowskim. Występowali już poza
Kielcami w wielu miastach a także w
Warszawie.

Jedną z senierek chóru a zarazem
najwybitniejszą jego solistką, Anielą
Skowronową, chwalił sobie Orzeszko-
wską a Józef Michta z przewiskiem
„Proch” — przekłady radzieckie,
zwłaszcza Polewoja. Czyta i naj-
młodsza, utalentowana śpiewaczka
Bronka Michciana.

A Maria Ksel, która ani nie śpie-
wa w chórze, ani też nie jest człon-
kiem LZS, bo jej lata na to nie po-
zwalały, nawet pasąc bydło nie roz-
staje się z książką. Złosiłwi mówią
„zakochana”. A ona „A co, pewnie,
w kramie Żeromskim...” „Ciekoty
od Masłowa niedaleko, wszystkiego
miał”.

Czytelnictwo, sport, sztuka podały
sobie rękę. A skutek?

Piotr Michta, tata Bronki, odzna-
czony został Brązowym Krzyżem Za-
sługi za wzorowe wywiązanie się
z obowiązków wobec państwa.

Michcie nie daje się ubiec prezes
LZS, kol. Majcherczyk.

W tym szlachetnym wyścigu pier-
w w pierś idzie z nim kolega klubowy,
Stanisław Ksel, młody gospodarz na
5 ha.